



NOWA KULTURA

TYGODNIK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

Cena 1,20 zł - 8 stron

Warszawa, 11 października 1953 r.

Nr 41 (185) Rok IV

Przyczółek wolności Niemiec

Przed chwilą usłyszałem przez radio wiadomość o powrocie do Niemiec zachodnim profesorów Heidenberga i Wernera von Brauna. Jeden z nich jest „specem” od energii atomowej, drugi — hitlerowskim zastępcą konstruktorem znanych nam pocisków rakietowych V2. Naturalnie, przybyli oni z planem praktycznym: rozpoczęcia produkcji w swoich specjalnościach — dla Niemiec doktora Adenauera.

W tym samym dniu ludzie, których postawa i wysiłek zadecyduje wbrew panom Heidenbergom i Braunom o lepszej przyszłości Niemiec, w sprawie wojny i pokoju w Europie, przygotowali się do obchodu czwartej rocznicy istnienia Niemieckiej Republiki Demokratycznej.

Cztery lata to w historii krótki okres — podobnie jak minuta, albo dwie w ludzkim życiu. Ale te cztery lata NRD dla całych Niemiec, dla ich słusznego narodowego rozwoju stanowią całą epokę. My, Polacy, jesteśmy w tym fakcie szczególnie żywotnie zainteresowani. Właśnie dlatego, że nasze geograficzne sąsiedztwo z niemieckim imperializmem od wieków kosztowało nas tyle ofiar, że tyle razy najężdżano nasze ziemie w grabieżczych, krzyżackich pochodach na Wschód. Właśnie dlatego trzeba nam wszystkim, ludziom dobrej woli, tym mocniej podkreślać, tym powszechniej głosić nasz narodowy interes, naszą rewolucyjną wspólnotę z tym wszystkim, co się dzieje między Odrą a Łabą, z tą wstrząsającą w swym dramatyzmie walką o nowe, pokojowe Niemcy. Co więcej: wydaje mi się, że nam, Polakom, i naszym niemieckim przyjaciółom nigdy to uzależnienie poparcie i zrozumienie nie było tak potrzebne, uprzednie nieodwołalne — jak właśnie dzisiaj. To znaczy: nigdy niemieccy demokraci nie byli tak żywotnie zainteresowani w rozwoju silnej, niepodległej Polski jak dzisiaj, kiedy jest ona przyjaznym, pomocnym zapleczem w ich narodowej, rozstrzygającej batalii. Stąd: każde nasze zwycięstwo jest sukcesem NRD. To znaczy również, że my, Polacy, po raz pierwszy w naszej historii mamy sprawiedliwą granicę — Odrę i Nysę i mamy miliony Niemców, którzy tę granicę uznają, i wspólnie z nami strzegą jej, jako granicy pokoju i przyjaźni między naszymi narodami. Stąd każda wygrana niemieckich demokratów jest naszą wygraną. Sprawa ta jest jasna i oczywista.

Czy ta podstawowa prawda przeniknęła dostatecznie do świadomości całego naszego narodu?

Rzecz bezsporna, że mamy tutaj jeszcze niemało do zrobienia.

Postępujemy się dla ilustracji motów przykładem. Tego samego dnia, w którym profesorowie Heidenberg i Braun wygłoszali w Europie — przeglądając książkę wydaną w języku niemieckim pt. „Für Polens Freiheit” („Za wolność Polski”). Jest to starannie opracowana antologia, która ukazuje charakterystyczne literackie utwory i wypowiedzi niemieckich pisarzy o naszej ojczyźnie na przestrzeni z bieżącego ośmiu wieków. Wszystko, co było i jest prawdziwie wielkie, postępowe i szlachetne w niemieckiej literaturze darzyło nasz naród nieklamną sympatią i przyjaźnią, w naszej walce narodowej — wyzwolenczej. Mądra, podnosząca na duchu książkę podarowali nam nasi niemieccy przyjaciele. Trzeba koniecznie, aby mógł się zapoznać z nią szerszy ogół, przede wszystkim — nasza młodzież.

Najlepszym bowiem przewodnikiem prawdy są fakty. Na własnej skórze poznaliśmy okrucieństwa niemieckiego faszystwu. Dzisiaj, aby zrozumieć całą prawdę o narodzie niemieckim, musimy poznać te fakty, które ukrywała przed naszym narodem rodzima burżuazja, musimy poznać i te Niemcy, których dzieła palił Adolf Hitler na stosach przed najazdem na Polskę. Dla ludzi piona jest tutaj niemała robota.

Na początek proponuję sprawę bynajmniej nie białą w swoich skutkach — odpłacić naszym niemieckim przyjaciółom podobnym darem: dać literacki, historyczny obraz naszej wiary i ufności w postępowe, rewolucyjne Niemcy. Tak rozumiana historia nie jest samodzielnym, szybko radziejskim wieńcem przy pomnikach przeszłości — ale współczesnym uzbrojeniem w walce.

Jerzy Piórkowski

Oczyrna piechura i — realisty

RYSZARD MATUSZEWSKI

Ze strony wydawnictw wojskowych słyszy się często utyskiwania na brak zainteresowania pisarzy współczesnych wojskową tematyką.

Odbicie życia, jakie daje literatura, nie może oczywiście pomijać zjawiska wojny i wojska nie tylko dlatego, że nie wolno jej pomijać w ogóle żadnego ważnego zjawiska społecznego. Nie może pomijać go zwłaszcza dlatego, że zadaniem literatury jest wykrywanie najgłębszych prawd dotyczących życia człowieka, ukazywanie ich poprzez analizę charakterów ludzkich, wojna zaś łączy się zawsze z wielkim napięciem woli milionów ludzi i jest zawsze wielką próbą charakterów. Wojna i wojsko napastnicze są nieszczęściem, źródłem zbrodni i deprawacji człowieka, wojna i wojsko broniące wolności jest szkołą charakterów, źródłem największych poświęceń i bohaterstwa. Odczuwali to i odczuwają instynktownie pisarze i artyści wszystkich czasów i dlatego temat wojny stanowił przedmiot ich zainteresowań zawsze, jak długo istnieje literatura. Nigdy nie zachodziła taka sytuacja, żeby pisarom trzeba było podsuwać ów temat jako szczególnie ważny lub zaniedbany.

Toisłój napisał „Wojnę i Pokój” w okresie stosunkowo najmniej obfitym w bezpośrednie dotyczące wielkiego pisarza wydarzenia wojenne, ponieważ temat wielkiej wojny w obronie zagrożonej wolności narodu pasjonował go jako zjawisko, poprzez które zobaczyć mógł prawdziwych ludzi, prawdziwe charaktery. Wielka Wojna Narodowa lat 1914 — 1915 stała się dla literatury radzieckiej porwijającym tematem, ponieważ poprzez nią mogli pokazać szczególnie dobitnie nowe, wspaniałe cechy charakteru człowieka, który zbudował socjalizm.

Sytuacja w stosunku do czasów dawnych zmieniła się o tyle, o ile zmieniła się funkcja literatury w społeczeństwie socjalistycznym. W miejsce zamówienia społecznego władcy, reprezentanta klasy panującej, domagającego się opiewania chwały swego oręża, w miejsce wrogięgo lub w najlepszym razie obojętnego traktowania literatury wyrażającej dążenia i walkę wolnościową mas i demaskującej istotne oblicze wojen toczonych w interesie

klas panujących — pojawiło się zamówienie społeczne socjalistycznego narodu.

To na co mógł zdobyć się dawniej tylko pisarz przeciwstawiający się klasom pasożytniczym, wyrażający dążenia mas ludowych, dziś stanowi u nas bezpośrednią troskę ludowego państwa, jest bezpośrednim zadaniem i przywilejem ogółu pisarzy.

Oddać całą prawdę walki o najpiękniejsze cele człowieka, odtworzyć jej prawdę ludzką, zawartą w charakterach działających postaci, ukazać całą grę sił społecznych, jakiej widownia był i jest do dzisiaj otaczający nas świat — oto zadanie, które stoi przed pisarzem współczesnym, zadanie, przy którym nie może on pominąć tematu najbliższej nam przeszłości, tematu naszej walki wyzwolenczej z faszystwem, nie może on pominąć teraźniejszości: jednego z ważnych elementów naszego życia, jakim jest wychowanie obywatela na żołnierza państwa ludowego.

Czy i o ile literatura nasza spełniała dotąd i spełnia to zadanie? Odpowiedź od razu: nie spełniała i nie spełnia w stopniu minimalnym. Spełnia je w stopniu nie dającym się porównać np. z literaturą radziecką, gdzie temat Wielkiej Wojny Narodowej doczekał się takich utworów jak „Szosa Wołokołamska” Bekka, „Biała brzoza” Bubiennowa, „Opowieść o prawdziwym człowieku” Polewoja, „W okopach Stalingradu” Niekrasowa, „Zdobycie Wielkoszumska” Leonowa, czy choćby mała perełka nowelistyki — „Gwiazda” Kazakiewiczza.

Literatura nasza nie dała tylu i takich utworów związanych z bohaterstwem żołnierza polskiego i warto zastanowić się, dlaczego ich nie dała.

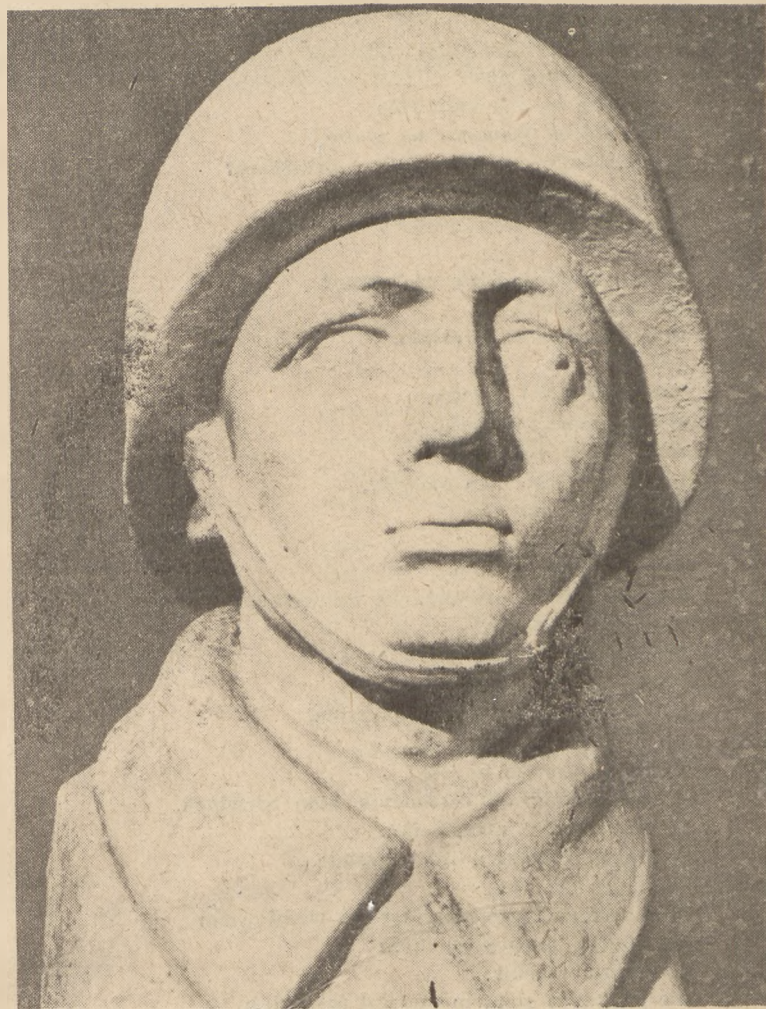
Oczywiście można by jako przyczynę główną wysunąć ogólny stan literatury radzieckiej w zestawieniu z naszą, stopień opanowania realizmu socjalistycznego przez pisarzy radzieckich i naszych, i tym podobne przyczyny ogólne. Tłumaczyłby one dystans pomiędzy literaturą radziecką a naszą w ogóle, nie tłumaczyłby jednak faktu, który bez trudu można wykażać zestawieniem pozycji literackich, a mianowicie szczególnej słabości naszej literatury po-

święconej dziejom chwały polskiego oręża w latach wielkich zmagania z faszystwem.

Przyczyny tego faktu leżą głębiej. Nie w rozwoju zjawisk literackich, ale w tym, co stanowi ich podłoże: w rozwoju samej rzeczywistości i rozwoju świadomości społecznej pisarzy. Dla Związku Radzieckiego wojna z faszystwem była wojną, która zjednoczyła cały naród, naród już socjalistyczny we wspólnej walce z najeźdźcą. Dla Polski wojna z faszystwem związana była z rewolucyjnymi przemianami, z których istoty pewna część społeczeństwa nie zdawała sobie przez dłuższy czas sprawy. Równocześnie z ofiarnym wysiłkiem polskiej klasy robotniczej i odrodzonego Wojska Polskiego działały w łonie polskiego społeczeństwa wrogie siły, przeciwdziałające wyzwoleniu mas ludowych z jarzma ustroju wyzysku, działały siły będące wyrazem wewnętrznych sprzeczności świata imperialistycznego, zadzierające przez przystość w sytuacji politycznej, wywołujące zamęt ideowy świadomości nawet najofiarniejszych jednostek, komplikujące ogólny obraz wydarzeń.

Przed pisarzami naszymi stało trudne zadanie pełnego, sięgającego do dna naświetlenia owych spraw, ukazania całej prawdy owych procesów, zarówno politycznych i społecznych, jak w ślad za nimi i psychologicznych. Do spełnienia tego zadania zabrakło naszym pisarzom przede wszystkim politycznej dojrzałości, następnie zaś często bądź osobistego doświadczenia, bądź artystycznej intuicji, psychologicznej wnikliwości, które mogłyby doświadczenia te zastąpić.

Zagadnienie artystyczne odzwierciedlenia minionego wojny nie jest jednak sprawą straconą. Lata ostatnie wskazują na fakt, że w miarę wzrostu politycznej dojrzałości naszych pisarzy rośnie szanse trafnej oceny skomplikowanych zjawisk okresu wojennego i uzyskania dla nich odpowiedniego artystycznego wyrazu. Przykładem tego może być powieść Zukrowskiego „Dni klęski”, ukazująca zagadnienie wrześniowej katastrofy o ile dojrzałości i trafniej niż opowiadania tego pisarza powstałe bezpośrednio po wojnie. Przykładem może być też powieść Czeskiej „Pokolenie” w 7 lat po wojnie ujmująca po raz pierwszy w sposób właściwy problem walki



Józef Trenarowski

Głowa żołnierza

Z wystawy poświęconej X-leciu Wojska Polskiego

podziemnej naszej młodzieży w czasie okupacji.

Tematyczne zagadnienie obrazu wojny z faszystwem w naszej literaturze rozpada się na trzy duże działy: są nimi — wrzesień 1939, walka podziemia w czasie okupacji oraz szlak wojenny I i II Armii W. P. Jest to oczywiście podział schematyczny. Nie musi on w żadnym wypadku ściśle pokrywać się z treścią poszczególnych utworów, podobnie jak samo najszersze pojęcie zagadnienie wojny może stanowić tylko wątek uboczny w utworach o założeniu szerszym, jak np. cykl „Między wojnami” Kazimierza Brandysa. Dla większości dzieł powstałych po woj-

nie, jest to jednak podział orientacyjny-ułatwiający, pozwalający rozstrzeż się w ich charakterze, dostrzec, gdzie leżą ich punkty mocne i punkty słabe.

Cechą większości utworów o tematyce wojennej w pierwszych latach po wyzwoleniu był ich charakter rejestracyjny — wspomnieniowy. Przeważał on nie tylko tam, gdzie mieliśmy do czynienia z utworami typu wyraźnie i jawnie pamiętnikarskiego jak np. w licznych wspomnieniach o wrześniu 1939, czy też w literaturze okupacyjno — obozowej. Wiele utworów będących z zamyślu pisarza nowelami lub powieściami miało również ów charakter wyraźnie autobiograficzny, nie wznosiło podjętego tematu do rangi szerokiego, typowego uogólnienia, nie wykraczało poza wąski krąg doświadczeń jednostki, bądź ze względu na zbyt małą dojrzałość ideową autora, bądź nieumiejętność poradzenia sobie z materiałem pod względem artystycznym. W literaturze o tematyce okupacyjnej przeważał przez czas dłuższy ton defensywny, żeby nie powiedzieć cierpienny. Obrazy zbrodni okupanta i ofiar ponoszonych przez społeczeństwo polskie przeważały nad obrazami walki. Obok tego mieliśmy utwory, w których obraz wroga nie był ustawiony naleyście, w których autor wykazywał niezrozumienie istoty zjawiska faszystwu, nie umiając dostrzec go i zinterpretować na płaszczyźnie słusznej, nienacjonalistycznej. Nacjonalizm, solidaryzm narodowy, naturalistyczny brak selekcji w doborze ukazanych wydarzeń, nieumiejętność wydobycia elementów świadomości, czynnej postawy w walce z okupantem — oto najogólniej biorąc najczęstsze braki literatury jeśli nie obcej, to w każdym razie słabej ideologicznie, z której przejawami stykaliśmy się po wojnie.

Wiele z tych braków należy już dziś do rzeczy przezwyciężonych. Problem września 1939 doczekał ambitnego, szerokiego ujęcia wykraczającego poza schemat wspomnieniowo-rejestracyjny, przede wszystkim w książce Putramenta. Utwór ten wielokrotnie omawiany i analizowany przez krytykę stanowi na pewno, niezależnie od tych czy innych usterek, nasze najwybitniejsze osiągnięcie powieściowe w dziedzinie tematyki wojennej. Za swego rodzaju dopełnienie tematyczne książki Putramenta można uważać wyżej wspomnianą powieść Zukrowskiego „Dni klęski”. Pojawienie się tych dwóch pozycji nie oznacza oczywiście, aby temat września był wyczerpany. Daje już jednak pewien historyczny przekrój zjawiska.

Słabiej niewątpliwie — mimo dużej obfitości pozycji — wygląda w naszej literaturze zagadnienie walki w latach okupacji. Przyczyna tego jest jasna. Jest to zagadnienie o wiele bardziej skomplikowane ideologicznie, a zatem i artystycznie. Walka w okresie okupacji zawierała w sobie elementy takie, jak we-

Georg Herwegh

1950

Wielki cud, którym dzisiejsza Polska może zadziwić, zwie się odrodzeniem, rozkwitem długo tłumionej substancji ludzkiej — i jak z samolotu naszym oczom ukazuje się kraj ze swoimi czworobocznymi, drogami połączonymi polami, mieniącymi się jesienną zielenią, tak w sensie politycznym i gospodarczym ukazuje się poprzez granicę nad Odrą i Nysą nasz sąsiad, złączony najprzyjaźniejszymi węzłami z Niemcami, Polska łąniąca różnymi barwami siły, niby kobierzec czynnego życia.

Arnold Zweig

1951

Granica nad Odrą i Nysą jest dzisiaj nie tyle granicą, ile mostem przyjaźni. Niby symbol przyjaźni i wzajemnej pomocy urzeka nas dzisiaj wielki, nowo powstający kombinat hutniczy, tuż przy ujściu Nysy do Odry, bezpośrednio przy granicy pokoju. Powstaje tam całkiem nowe miasto niemieckie, budowane w „warszawskim tempie”, jak to mówią niemieccy robotnicy. Z jednakową dumą niemieccy i polscy robotnicy patrzą na to dzieło pokoju, które z pomocą polskiego węgla, radzieckiej rudy i niemieckiej siły roboczej będzie produkowało narzędzia i maszyny dla pokojowej pracy...

Polacy i Niemcy — zapewne, dwa bardzo różne narody, każdy ze swoimi właściwościami, ze swoją przeszłością, ze swoją historią; dziś jednak oba te narody mają jeden wielki cel: pokój i przyjaźń.

Fryderyk Wolf

(Dokończenie na str. 2)

1831

...Czyż entuzjazm Polaków nie jest bardzo wzniosły, bardzo wzruszający? Czyż kiedykolwiek istniało coś wielkiego, co by zarazem było tak piękne? Wśród chropawych kart historii jest to karta pisana na welinowym papierze... Polacy być może poniosą porażkę, pomimo ich pięknego entuzjazmu. — Jeśli to jednak się stanie i popłynie szlachetna krew, to użyżni ona głębię wolności na całe stulecie i wyda tysiącokrotne owoce. Tyrani nie zyskają nic prócz przekleństwa. Kto teraz ma Boga w sercu, niechaj się modli, a kto się umie modlić, niech się modli za Polaków...

Ludwik Boerne

1840

Nie, Polska jeszcze nie zginęła... Z jej istnieniem politycznym nie zakończyło się jeszcze jej rzeczywiste życie. Jak niegdyś Izrael po upadku Jeruzolimy, tak może i po upadku Warszawy Polska podźwignie się, aby się spełniło najwyższe przeznaczenie. Ten naród czeka ją jeszcze, być może, czyny, które geniusz ludzkości ceni ponad wygrane bitwy i rycerski chrzest miecza, a także tętno krwi w jego narodowej przeszłości! I nawet bez tego powtórnego rozkwitu dawnego znaczenia Polska nigdy całkowicie nie zginie... Będzie żyła na wieki na najsławniejszych kartach historii!!!

Henryk Heine

1847

My, niemieccy demokraci, jesteśmy szczególnie zainteresowani w wyzwoleniu Polski. Niemieccy książęta byli tymi, co ciągnęli korzyści z podziału Polski, niemieccy żołnierze są tymi, co jeszcze teraz uciskają Galicję i Poznańskie. Nam, Niemcom, nam, niemieckim demokratom, przede wszystkim winno zależeć na tym, aby zmyć tę plamę kałającą nasz naród. Naród

nie może się stać wolnym i zarazem w dalszym ciągu uciskać inne narody. Wyzwolenie Niemiec nie może zatem dojść do skutku bez wyzwolenia Polski od ucisku Niemców. Dlatego interesy Polski i Niemiec są wspólne, dlatego polscy i niemieccy demokraci mogą wspólnie pracować nad wyzwoleniem obu narodów.

Fryderyk Engels

1848

Pewien francuski historyk powiedział: Il y a des peuples nécessaires: istnieją narody niezbędne. Do tych narodów niezbędnych należy z XIX stulecia bezwarunkowo naród polski.

Narodowy byt Polski nie jest jednak dla nikogo bardziej konieczny, niż właśnie dla nas, Niemców...

Dopóki pomagamy uciskać Polaków, dopóki przykuwamy część Polski do Niemiec, dopóki pozostajemy przykuci do Rosji i do polityki rosyjskiej, dopóty nie możemy gruntownie złamać feudalnego abso-lutyzmu u nas samych.

Wskrzeszenie Polski i uregulowanie jej granic z Niemcami jest nie tylko koniecznością, ale ponadto najłatwiejszym do rozwiązania problemem ze wszystkich zagadnień, które się wyłoniły po rewolucji w Europie wschodniej...

Karol Marks

Sprawa polska jest sprawą życiową dla nas i dla was, i rękojmią jej szczęśliwego rozwiązania leży w naszych i waszych niedoimnieniu demokratycznych przekonaniach.

Demokracja jest jedynym zwycięskim orężem epoki przeciwko absolutyzmowi, a chociaż nasze sympatie należą do całej waszej ojczyzny, zwróciliśmy się z naszymy pozdrowieniem do was, którzyście pierwsi rozpoznali i wymówili: nie ma i dla Polski nigdzie zbawienia, jak tylko w demokracji!

WANDA KARCZEWSKA

Gawęda o żołnierzu radzieckim

Rozjasnił się park listkami młode,
kwieciowa fała o brzeg trąca łodką.
Leży Wania w kaliskiej ziemi
i żołnierz Allosza leży —
cichutko.

Marmur im dali na czoła,
marmurowy z gwiazdą pośrodku cokół,
na marmurze — laweta.
Prośna szumi dokola,
polskie wierzyby wokół
i pieśń polska.
Ladna, ale nie ta.

Czyżbyś ty sam nie wolał
w jakimś zawołanym kolchozie
poganiać woły siwe?
I szerokie w oczy brać pola,
jadąc pośród konczyn na wozie,
i pieśń śpiewać radzieckie, szczęśliwe?
Czyż z radością na wojnę szedł?
Nuż, Wania, mów prawdę, nie kłam.

Któż z radością idzie na wojnę?
Ale jak poszedł,
to by już zaszedł do plekta.

Jak ptak leciał ognisty,
step się pod nim palił.
Ach, bracia drodzy,
toć pisał jego dom ojczysty,
a jemu karabin dail.

Aż tu zaleciał Wania.
I tu go śmierć, markietanka żołnierska,
złowiła w sidła.
Przystanął w locie.
Głowę na ramię skłania,
a ręce — jak ustrzelone skrzydła.

I pod marmurem tu leży.
A wolałby zwykły rochochodnik, albo barwinek.
I żyć by wolał, niż nie żyć.
W Gruzji ojczystej, lub Ukrainie.

Lecz choć nad jego płaszczyznym wezwgiem
nie księżyc stepowy się chylił
ni obłok burzanów,
nie z żalu on szepem umierał śród alej:
Ja padam, lecz z krwi mej w tej ziemi — synowie
wolni powstaną,
by walczyć dalej.

LEON KRUCZKOWSKI

Fuczik

Z okazji 10 rocznicy śmierci Juliusza Fuczika, odbyła się w Pradze w dniu 10 września br. uroczysta sesja, zorganizowana przez Czechosłowacką Akademię Nauk, Związek Pisarzy Czechosłowackich i Słowacką Akademię Nauk. Na sesji tej, w której wzięli udział również liczni pisarze zagranicą, Leon Kruczkowski w imieniu pisarzy polskich wygłosił następujące przemówienie:

Milliony ludzi, całe narody składają dzisiaj żałobny hołd pamięci Juliusza Fuczika — w 10 rocznicę Jego męczeńskiej śmierci. Składa go również i mój naród, naród polski, bratnią przyjaźnią mocno związany z narodami Czechosłowacji. Czymi i kochamy pamięć wielkiego bojownika prawdy i sprawiedliwości, nieugiętego patrioty i internacjonalisty, bohaterskiego syna Komunistycznej Partii Czechosłowacji, wiernego aż do śmierci szermierza myśli leninowsko-stalinowskiej.

Ale ten hołd żałobny nie jest bezsilnym wspomnianiem cienia, oplakiwaniem zmarłego dawno towarzysza. „Niech smutek nigdy nie łączy się z naszym imieniem” — oto słowa, jakimi Juliusz Fuczik zakończył swój testament. Ciele, zbyt krótkie życie tego pięknego człowieka i płomienne komunisty było zaprzeczeniem słabości, sentymentalizmu i żalu za tym, co przemija, „Żyłymy dla radości, za radość szliśmy do walki i za nią umieramy” — taki był pogląd Fuczika na życie i śmierć. Namłotna radość twórcy, wola przeobrażenia ludzkości cierpiącej w ludzkości szczęśliwa, humanistyczna wiara w człowieka, w jego możliwość doskonałości własnych losów — takie były źródła jego siły i jego dumy, jego słów i jego czynów.

Był pisarzem. Był dobrym, walczącym pisarzem. Choć mało pisał o sobie, w swoich książkach zostawił nam swój portret, narysowany całym rozmachem ręki przywykłej siły i napinać żagle pod wiatry historii. Dlatego nawet ci, którzy go nigdy nie widzieli, znają go jak bliskiego przyjaciela; nawet ci, którzy nigdy nie słyszeli Jego głosu, zawiązują mu niejedną godzinę rozmowy z żywym, pełnym pogody człowiekiem.

„Światło, światło kochałem i pragnąłem wyrastać prosto w górę — kwitnąć i dojrzewać jak owoc”. Tak pisał Juliusz Fuczik w jednym z ostatnich swych listów. Taka miłość i takie pragnienia przemieniały świat. Od ich żaru zapalała się serca milionów, od ich siły padają w gruzy Bastille, Pankrace i Sing-Sing. Miłość światła i pragnienie ludzkiego wzrostu „prosto w górę” — oto motyw przewodni historycznego pochodzenia humanistycznej myśli ludzkiej, a zarazem prosta tajemnica jej zwycięstw nad nieludzkimi i antyludzkimi siłami wsteczności, krzywdy i zbrodni.

Mylny i powierzchowny byłby pogląd, że najważniejszą książką Fuczika — najważniejszą i ostatnią — jest książka o mecie i śmierci. Dzięki niej głównie, mówiąc „Juliusz Fuczik” — myślimy nie o śmierci lecz o triumfującym życiu. Lata faszyzmu nie tylko zabrały ludzkość bezmiarem okrucieństwa i podłości, ujawniły one również wielkość i piękno człowieka, jego heroizm i dostojność najwyższej miary. Książka Fuczika jest najważniejszym i najpełniejszym z dokumentów, jakie zostały światu wojennym wielu narodów, które walczyły z faszyzmem. Choć ostatnie jej karty zapisane zostały 10 lat temu, jest ona książką palącą współczesną, gdyż mordercy Fuczika żyją — byli i są oni przecież mordercami narodów. Dlatego nie ma miłości człowieka bez walki o człowieka, nie ma ukojenia życia bez czujności wobec wrogów życia.

Dzisiaj, gdy za miedzą piękną Czechosłowacji odrasta hydra wrogów życia, nie ma słów, które by bardziej jednoznacznie nie tylko naród Czechosłowacki, ale i wszystkie inne narody Europy — jak ostatnie słowa Juliusza Fuczika. „Bądźcie czujni”, narody, bądźcie czujni! — Oto najwyższy nakaz dla nas wszystkich, którzy kochamy ludzi, kochamy tworzyć życie i tworzyć pokojową pracę. Bardziej niż kiedykolwiek trzeba nam myśleć o Juliuszu Fucziku tak jak on tego pragnął i jak nakazywał — nie o poległym lecz o żywym towarzyszu, który nam wciąż pomaga, nie o żałobnym młodziutkim cieniu, lecz o triumfującym zwycięskim płomieniu, który jest wśród nas, oświeca naszą drogę, zapala nasze serca, naszą wolę, naszą czujność.

Płomieniem bowiem był — i nie ma takiej nocy, która by mogła Go zgasić.

Leon Kruczkowski

Oczywiście piechura i — realisty

(Dokończenie ze str. 1)

wewnętrzna walka polityczna ugrupowań patriotycznych i postępowych z agenturami reakcji i stanowi spłot zagadnień, których nasświetlenie w oparciu o analizę powstałej na tym tle literatury wymagałoby osobnego studium.

Chciałbym zatrzymać się natomiast na zagadnieniu kluczowym dla obrazu naszych tradycji walki z faszyzmem, jakim jest dotychczasowa nasza literatura o odrodzonym wojsku polskim, o walkach I i II Armii. Jest to zagadnienie z wielu powodów dziś nam najbliższe, problem do niedawna zgola dla literatury naszej wstydlawy, biorąc pod uwagę stan osiągnięć i ogrom braków w tej dziedzinie.

Do roku 1951 bowiem nie mieliśmy na dobrą sprawę — poza poezją, która walkom I Armii towarzyszyła od chwili jej narodzin — żadnych prób literackiego ujęcia wielkiej epopei, która rozegrała się na przestrzeni Siedle — Berlin.

Dzisiaj, i to możemy stwierdzić z uznaniem i radością, sprawa przedstawia się już o wiele lepiej. Sukurs z jakim przyszła pisarzom naszym Wanda Wasilewska, publikując poświęconą zagadnieniu emigracji polskiej w Związku Radzieckim i częściowo problemom Pierwszej Armii powieść „Rzecz płoń”, „Notatnik korespondenta wojennego” Broniewskiej, książki Hena, Hamery, Przymanowskiego, opublikowany fragment dramatu Leona Pasternaka i mająca się wkrótce ukazać powieść o walkach II Armii Jerzego Korczaka ruszają sprawę zdecydowanie z miejsca. Z jakimi — jak dotąd — wynikami na tle ogólnego rozwoju naszej literatury — to odrębny problem. Spróbujmy go rozważyć.

Historia walk I i II Armii, ich wkład w dzieło zwycięstwa nad faszyzmem stanowi dla naszego wojska, dla całego naszego narodu przedmiot szlachej chwały i dumy. Ten rozdział naszych dziejów nie wymaga żadnej legendy, samo historyczne zestawienie faktów ma dostateczną wymowę, pobudza wyobraźnię, stanowi wymiarowy materiał dla pisarza. Jednakże myliłby się ktoś, kto by sądził, że dla literatury istnieją w ogóle jakiegokolwiek tematy, których wewnętrzna siła, ładunek ideowy, prawda historyczna pozwoliłyby pisarzowi uniknąć trudu kompozycji, selekcji materiału, pozwoliłyby zastąpić pisarską wyobraźnię skrzętnym notowaniem faktów. Prawem i obowiązkiem literatury jest dążenie, do wielkiego uogólnienia, do ukazania przedstawionych wydarzeń poprzez ludzkie konflikty, zarysowanie ludzkich charakterów. Wielkość literatury zależy od umiejętności ukazania tych konfliktów, od zarysowania charakterów, a nie od wielkości tematu. Nie, nie wolno twierdzić, że temat nie ma znaczenia. Schyłkowość całej literatury burżuazyjnej przejawiała się między innymi w tym, że pisarze odchodzili od realizmu stronili od wielkich, ludzkich tematów. Temat jest ważny. I problem wyboru tematu dla pisarza realizmu socjalistycznego jest problemem nader istotnym. Nie przesadza on jednak o rezultacie jego pracy. Nie uwalnia go od żadnych trudności związanych z ukształtowaniem materiału pisarskiego.

Czy osobiste doświadczenie pisarza, jego własny udział w wydarzeniach jest dla pisania o nich konieczny? To zależy. Konieczna jest znajomość atmosfery środowiska i epoki, znajomość realiów przynajmniej taka, która by nie budziła sprzeciwu żyjących świadków owych wydarzeń. I tu leży niewątpliwie jedno ze źródeł trudności w podejmowaniu tematyki walk I i II Armii przez naszych współczesnych pisarzy. Trudności większych niż te, z którymi stykają się współcześni pisarze radzieccy — z dwu powodów. Po pierwsze — z pisarzy radzieckich większość brała czynny udział w odpieraniu wroga, zetknęła się z wojskiem i frontem. Po drugie — i to też trzeba wziąć pod uwagę — ogrom skali w jakiej wydarzenia wojenne rozegrały się na terenie Związku Radzieckiego pozwalał pisarzowi radzieckiemu na bardzo swobodny wybór motywów w olbrzymich ramach wielkiej, wojennej epopei. To zjawisko u nas przedstawia się nieco inaczej. Droga I i II Armii do tematu bardzo określony pod względem miejsca i czasu. Do tej pory panuje u naszych pisarzy głębokie przekonanie: kto tego nie przeżył, nie może o tym pisać. Jeśli chodzi o dotychczasowy stan rzeczy — przekonaniu temu trudno się przeciwstawić. Czyż trudno sobie wyobrazić gromy oburzenia na autora, który pomysł się w drobnych realiach, niedokładnie przedstawia szczegóły autentycznych wydarzeń lub — co ważniejsze — wiedziony tylko artystyczną intuicją pokazuje ludzi nieco innych niż ci, którzy naprawdę brali udział w opisanych wypadkach?

A jednak trudno oprzeć się przeświadczeniu, że opory te w miarę czasu będą zanikać, muszą zanikać. Czy Tolstoj brał udział w wojnie 1812 roku, czy Żeromski uczestniczył w wojnach napoleońskich lub powstaniu styczniowym? Odpowiedź na to: tak, ale to są powieści historyczne. Zgoda, ale kiedy chodzi o wielki realizm obrazu jakichś czasów, różnica pomiędzy powieścią historyczną i współczesną się zaciera. Wszystko, nawet i to, co leży w granicach naszych doświadczeń, staje się historią, historią są walki I

i II Armii, historią trudniejszą do ogarnięcia, bo niemal współczesną, ale historią.

Zbliża się czas, w którym zanikać będzie znaczenie elementów wspomnionych, niestonnych szczegółów, a ważne staną się ogólne perspektywy. Ogólne — to nie znaczy pozbawione oparcia w najbardziej indywidualnej konkretności opisywanych wydarzeń, ale coraz bardziej podporządkowujące te wydarzenia artystycznej fikcji, typowemu uogólnieniu. Zadaniem literatury ambitnej, literatury realizmu socjalistycznego jest wychodzić czasami naprzeciw, odrzucać to co przypadkowe i nieistotne na rzecz tego, co trwałe, uogólniające i typowe.

Czy możemy mieć pretensje do naszych pisarzy, że dotychczas nie dali takiego wybiegającego naprzód, uogólniającego obrazu naszej wojennej rzeczywistości? Do pewnego stopnia tak, ale tylko do pewnego stopnia. Możemy mieć pretensje do pisarzy, że nie zdobyli się dotąd na taki, ideowo dojrzały obraz dni narodzin Polskiej Ludowej, w którym by obok szeregu innych zagrał ów moment decydujący — wojsko polskie stworzone w Związku Radzieckim i jego walka. Możemy i powinniśmy postulatować, aby w dziełach o szerokim zakroju realizm, tego typu jak — powiedzmy — cykl „Między wojnami” Brandysa, czy „Wrzesień” Putramenta, odnalazł się akcent, znalazł się dzieło bohatera, który przeszedł szlak I Armii.

Brakuje mi — w moim odczuciu czytelnika i krytyka — jakiejś takiej powieści, osobiście widzę ją raczej jako powieść wielowątkową, o latach jednego z najwspanialszych przełomów w dziejach naszej ojczyzny, w którym by ów akcent — obok innych — był pokazany. Dlaczego widzę tę powieść raczej jako wielowątkową? Dlatego, że jak sądzę, w kontrastach, w zestawieniu losu różnych postaci, o różnych drogach życiowych, w różnych historycznych okolicznościach, łatwiej ukazać to, co stanowi specyfikę każdej z tych dróg. Jeśli chodzi o wzory — to mogą być one bardzo rozmaite. Nie byłbym od tego, aby było to coś w rodzaju „Umarli pozostają młodzi” Anny Seghers. Powieść polityczna — przekrój społeczeństwa.

Wydać mi się, że nie jest za wcześnie na taką powieść, że jeśli mogą już dziś ukazywać się u nas cenne książki o „brudnej wojnie” w Vietnamie, o walce chłopów włoskich o ziemię, gdzie autorzy zdobywają się na wiele artystycznej intuicji, gdzie tworzą śmiało fikcyjne postaci bez oparcia o autobiograficzny materiał, jest to tylko kwestią dużej ambicji zamysłu autorskiego, pewnych studiów przygotowawczych i — oczywiście — talentu.

Dlaczego ujmuję rzecz od tej strony? Ponieważ sądzę, że taką powieść mogłoby u nas napisać kilku pisarzy. Pisarzy, którzy potrafili oderwać się od niestonnych szczegółów, od materiału autobiograficznego, którzy potrafili rysować żywe postaci i konflikty ludzkie nie w urojonym, z fantazji wysnutym, ale realnym, historycznym świecie. Na ogół trudno domagać się od nich jakiejś „monografii przedmiotu”, powieści ściśle batalistycznej, ale powinno być ich ambicją stworzenie wielkiej powieści politycznej o takim zakroju tematycznym, który by objął zagadnienie drogi odrodzonego Wojska Polskiego. Są zaś wśród nich i tacy, których stać na uduchowionej własnymi przeżyciami epopei wojenną.

Z książek, które dotąd się ukazały, pewne cechy omówionego typu utworów nosi powieść Wasilewskiej „Rzecz płoń”. Jest to jak dotąd jedyny utwór osnuty częściowo na tle I Armii i ujmujący ów temat w sposób świadczący o szerszym rozumieniu, zamiarze ukazania drogi rozwoju ideowego Polaków, którzy znaleźli się w czasie wojny w Związku Radzieckim. W wielkim cyklu powieściowym, którego zamknięcie stanowi tom „Rzecz płoń”, pisarka ukazała drogi wiodące do Polski Ludowej ludzi z najrozmaitszych środowisk, o najrozmaitszym obciążeniu ideowym. Pozycja ta była również szeroko już omawiana przez krytykę — toteż nad jej zaletami i wadami szerzej rozwodzić się nie będę.

W zestawieniu z powieścią Wasilewskiej inne utwory poświęcone tematyce walk I Armii stawiają sobie niewątpliwie wyższe, skromniejsze cele. Nie trzeba chyba dowodzić, że są to utwory również potrzebne, że zwłaszcza zawarty w nich materiał dokumentalny ma ogromne znaczenie dla przyszłego rozwoju wielkiej realistycznej literatury. Takim utworem niezmiernie cennym jest „Notatnik korespondenta wojennego” Janiny Broniewskiej, którego ukazał się dotąd tom pierwszy, następny zaś jest w druku. Autorka nie pokusiła się o „beletryzację” materiału, podała go w formie historycznej już dziś pamiętliwej. Nie przesadzając problemu możliwości innego ujęcia przez nią tego materiału — uczyniła dobrze, wzbogaciła naszą wiedzę o owym okresie relacją miejscami doprawdy pasjonującą, szczerą, bezpośrednią, bogatą w szczegóły, które wykorzystane będzie mogło zapewne niejednemu jeszcze pióro, chociażby jej własne. Rzecz jasna, iż utwór Broniewskiej nie pretenduje bynajmniej do spełnienia tej roli, jaką spełnić może i powinna proza powieściowa. Wzbogaca on ów nurt restrykcyjno-wspomnieniowy naszej literatury, o którym była wyżej mowa. Podkreślić jednak trzeba, że jeżeli chodzi o tematykę walk I Armii, literatura nasza, jeśli pominąć powieść Wasilewskiej, właściwie w ogóle poza nurt ten prawie nie wyszła, a w tym stanie rzeczy każda relacja typu książki Broniewskiej jest bodaj czy nie cenniejsza, niż nieudana próba powieściowa.

Trzeba bowiem powiedzieć sobie wyraźnie: do literatury powieściowej dużej, wysokiej klasy w omawianym przez nas zakresie tematycznym jeszcze nie doszliśmy. Doszliśmy w najlepszym razie do przeciętnie dobrego poziomu beletrystyki popularnej. Mam tu na myśli przede wszystkim powieść Józefa Hena „Druga linia”. Jest to niewątpliwie powieść zreszcie napisana, oddająca atmosferę środowiska, które przedstawiła, malująca żywe sylwetki ludzkie. Autor umie zainteresować czytelnika dobrze poprowadzonym wątkiem akcji, zarysować trafnie konflikt: historię ideowego dojrzewania żołnierza, chłopca z rzeszowskiego, który przyszedł do armii z szeregiem wrogich uprzedzeń, obciążen z przeszłości. Powieść tchnie prawdą, prawdą sytuacji, zaciętej walki ideowej, jaką pamiętamy dobrze z okresu lat 1943 — 1944, w których rozgrywa się akcja utworu. Jest napisana z niewątpliwym talentem. Jej dramatyczne zakończenie ma dużą siłę agitacyjną. Skąd więc zastrzeżenie, że jest to poziom „przeciętnie dobry”, a nie literatura wysokiej klasy? Rzecz leży — mówiąc najprościej — w sferze psychologicznego pogłębienia utworu. Hen zarysował postacie swoich bohaterów na ogół dość zreszcie, ale powierzchownie. Nie ukazał głębszego tła ideowego, głębszego psychologicznego wizerunku takich postaci jak główny bohater Krzemniak i jego narzeczona Marysia. Nie mają one tego ciężaru gatunkowego, jaki by mieć powinny, aby stać się postaciami typowymi, wyrazicielami ogólniejszych postaw ideowych w społeczeństwie.

Stawiam te sprawy nie w sensie jakiegos zarzutu wysuwanego konkretnie przeciw temu utworowi, będącemu jak dotąd bezwzględnie najlepszą pozycją beletrystyczną w omawianej przez nas dziedzinie. Chodzi mi o wytłumaczenie przynajmniej w przybliżeniu o co powinniśmy walczyć, o jaki profil literatury, mówiący o jednym z najważniejszych momentów w życiu narodu. Tę jakąś wagę gatunkową ma większość wymienionych już przeze mnie pozycji literatury radzieckiej o wojnie z faszyzmem. Każda z tych książek daje obraz walki, o której wiemy, że była walką decydującą o losie narodu, walką na śmierć i życie. Bije z niej głęboka świadomość ostatecznego, rozstrzygającego znaczenia dziejących się wydarzeń. W tej perspektywie drobne, przyfrontowe żołnierskie perypetie muszą ustąpić na drugi plan. Są zabawne, ale nie o nie chodzi. Skrzywdziłbym Hena twierdząc, że jego książka do nich się ogranicza. Zajmują w niej one jednak niepomierne wiele miejsca. Jest to wolna widziana z niedużej perspektywy, choć uchwycona z pisarskim nerwem.

Dużo słabszy pod względem techniki pisarskiej jest pierwszy tom powieści Hamery „Ślady czołgów”. Problem jaki stawia sobie autor jest tu trochę podobny do problemu książki Hena z tym, że bohater nie jest chłopcem, lecz inteligentem. Zarówno jednak rysunek postaci, jak sposób przeprowadzenia konfliktu budzi wiele zastrzeżeń. Hamera jest przy tym w zasadzie nieczłowiekiem obserwatorem, większość postaci ludzkich umie zindywidualizować, watek powieści prowadzi do brzo, pokój jest na gruncie spraw widzianych i przeżytych: kiedy maluje ludzi i ich zachowanie w czasie pochodów wojska, zajmowania stanowisk w okopach, kiedy daje obraz wsi przyfrontowej. Prawda przedstawianych sytuacji załamuje się jednak wszędzie tam, gdzie autor usiłuje konstruować fabułę: historia dezertera z I Armii, który po paru tygodniach w innej części kraju jest dowódcą oddziału A. K., historia dziewczyny, która pod wpływem paru zdań rzucanych w przelotnej rozmowie przez przygodnie spotkanego żołnierza przeobraża się w heroinę, przedwzrosty przygody dwójki bohaterów w czasie walk na przyczółku — składają się na serię nieprawdopodobieństw, obniżających realizm książki. Wartość jej zmniejsza też wyjątkowo niedbały styl, pełen rażących błędów językowych, co obciąża nie tylko autora, ale i czytelnika.

Pod tym względem o wiele lepiej przedstawia się seria utworów, które wyszły spod pióra Janusza Przymanowskiego. Są one napisane na ogół starannie, znać w nich troskę o kulturę języka. Od bezpretensjonalnych gawęd i opowiadań młodzieżowych i żołnierskich Przymanowski przeszedł ostatnio do większych i ambitniejszych utworów składających się na tom opowiadań „Bagnet z Uralskiej stali”. Napisał też dużą powieść „Żołnierze czterech rzek”. Trzeba jednak powiedzieć, że tym co nadaje wartość opowiadanom Przymanowskiego jest przede wszystkim ich głęboka ideowość i swoisty liryzm. Niektóre z nich tchną serdecznym ciepłem, jak np. „Warietki”, niektóre są celne w samym pomysle („Spotkania na Goethesstrasse”, „Poprawka na plan”, „Płomień”). Z drobnymi utworami radzi sobie autor na ogół nieźle. Natomiast próba powieściowa wyraźnie zawiodła mimo ambitnego zamiaru z powodu sprawy najbardziej zasadniczej: zawiódł rysunek postaci bohaterów. Długa powieść o dziejach walk od Bugu po Berlin i Łabę zyska

kalaby wiele, gdyby autor podał ją jak Broniewska w formie pamiętnika frontowego oficera, nie porwawsz ją się na beletryzację.

Wniosek, jaki stąd płynie, zdaje się przemawiać dość wyraźnie za tą, której uzasadnieniu służyła jedna z poprzednich części niniejszego artykułu. O jakości książki stanowi nie tylko temat, nie tylko i niekoniecznie osobiste doświadczenia pisarza, choć są one w jego ręku cennym atutem. Musimy walczyć o wielką literaturę realistyczną, wspartą o gruntowną wiedzę o człowieku, o umiejętność ukazania pełnych postaci ludzkich na tle historycznych wydarzeń, musimy uczyć się na doświadczeniach klasyków i najlepszych współczesnych pisarzy realistów.

Musimy sprawę tematu wojny i wojska w literaturze traktować nie pod kątem wiedzy jakiejś literatury „branzowej”, równoległe do takiego traktowania książek o górnictwie, o murarstwie, o spódnictwie, o produkcji, bo taki kąt widzenia narzuca pisanie, zwłaszcza początkującym, fałszywe założenia. Musimy bić się o wielką literaturę o współczesnym człowieku, o jego dojrzałym ideowym, o konfliktach naszej epoki, o literaturę dającą przekrój dziełom tej epoki w oparciu o analizę prawdziwych charakterów ludzkich, a wtedy zagadnienie „ważnego tematu” przejawia się w takim ujęciu, które zapewni podejmującym ów temat autorom trwałą wartość ideową i artystyczną.

Ryszard Matuszewski

SPRAWY WYDAWNICZE

O anonimowych i jawnych recenzjach wydawniczych

W rozmowach z kolegami z radzieckich wydawnictw pytałem jak sobie radzą z recenzentami maszynopisów. Nie rozumieli o co chodzi. Wyjaśniałem, że u nas często trudno uprosić o przyjęcie recenzji, jeszcze trudniej uzyskać terminowe jej wykonanie. Zarówno redaktorzy z wydawnictw jak i pisarze radzieccy wyjaśniali, że niemal nie zdarza się, by ktokolwiek — nawet z czołowych pisarzy radzieckich — odmówił napisania recenzji, albo poważnie opóźnił jej wykonanie. Regułą staje się przy tym, że recenzja podana jest do wiadomości autora, a nawet następuje spotkanie recenzentów z redaktorem i autorem dla dyskusji i obrony stanowisk.

W naszych wydawnictwach praktyka tego rodzaju należy do wyjątków. Ale i stosunek autora do recenzji wskazuje często na niedocenywanie roli wydawcy i wydawniczej recenzji. Są nawet autorzy, którzy obrażają się na wydawnictwo, że ośmiela się posyłać ich dzieło do recenzji, chociaż to należy do podstawowych obowiązków wydawcy. W tych warunkach trudno jest wydawnictwu pozyskać recenzenta a jeśli już pozyskuje — z reguły pracę swoją uzależnia od anonimowości recenzji, zachowania jego nazwiska w tajemnicy przed autorem. Wydawnictwa w ogromnej większości wypadków przesyłają uwagi recenzenta jako uwagi redakcji traktując recenzję jako pomoc w sformułowaniu własnego sądu o książce.

Jakie jednak poważne zalety ma recenzja wewnętrzna wydawnictwa, pisana w przeświadczeniu, że autorstwo jej nie będzie ujawnione przed autorem?

Opracowanie recenzji jest łatwiejsze, bo nie wymaga łamańców grzecznościowych, ani opracowania stylistycznych, troskliwe dobieranych sformułowań — recenzje są bezpośrednie, krótkie, ostre. Recenzja taka może być niepełna (ze wskazaniem tej niepełności), np. recenzja tylko części historycznych, terminologicznych itp., może być również — np. z braku czasu — ograniczona do nasuwających się refleksji i wskazówek dla wydawnictwa w wyniku tylko jednorazowego czytania (w terminologii wydawnictwa nazywa się to notatką o celowości wydania).

Przynajmniej postulat anonimowości może być wreszcie poczuć własnej skromności recenzenta wobec utworów czołowych pisarzy czy naukowców i — w przeciwnym wypadku — chęć oszczędzenia młodemu pisarzowi czy naukowcowi młodziutkiego czasem wpływu negatywnej oceny czołowego pisarza czy naukowca.

I czytelnicy i pisarze rozumieją zapewne, że często mogą takie okoliczności spowodować celowe przemilczenie autorstwa recenzji.

Ale powszechny i słuszny jest nacisk na nas wydawców, by regułą stało się ujawnianie autora recenzji nie tylko dla podniesienia jej poziomu ale przede wszystkim dla przeprowadzenia wspólnej pracy autora, redaktora i recenzenta, dla sprzeciwiania poglądom i twórczej dyskusji. Jeśli jednocześnie wrośnie poczucie obowiązku wszystkich ludzi przorszonych o recenzowanie prac dla wydawnictwa, można będzie mówić o zwalenciu spotykanej jeszcze szkodliwej praktyki zmienianych osądów redakcyjnych, przeciągania w nieskończoność decyzji nie skonkretyzowanych miesiącami malowniczych zarzutów i ogólników.

Adam Bromberg

Z wystawy poświęconej 10-leciu Wojska Polskiego



Ludwik Maciąg



Michał Bylina



Bohdan Borowski

Przeprawa przez Odrę

TADEUSZ KUBIAK

Żołnierze

(FRAGMENTY POEMATU)

Sercu bliskie

Lubelskich dróg płaszczyście smugi
witają ciebie, poruczniku,
po tej rozłace jak wiek długiej,
a w której przecież kraj nie zniknął
sprzed twoich oczu zapatrzonych
w dalekie — sercu bliskie strony.

Gdy w nietutejszym deszczu mokła
brzoza — tyś widział polską brzoze,
obok zielona stała oлча,
ojciec twój — chłop — zajeżdżał wozem.
I cóż, że w chwili pożegnania,
zaciągał śpiewnie — „Doswidania”.

Z ziemi braterskiej do ojcowskiej
szedłeś przez skwar i noc śnieżystą.
I to jedyny był do Polski
żołnierski marsz — do brzoź nad Wisłą.
Nie poprzez morza zdrad i kręctw,
ale przez rzekę krwi i męstwa.

Lubelskie drogi cię witają
po tylu latach, poruczniku.
Pierwszego dnia powrotu — w kraju —
nie zanotujesz w pamiętniku,
bo nie wyśplewa tego mowa,
bo nie powtórzą tego słowa.

I milcząc stoisz bardzo długo,
płach przesypujesz z ręki w rękę.
I gwizdże w ucho wiatr znad Bugu
jakąś piosenkę — eh, piosenkę —
a w dali letnie, srebrne niebo,
a dalej — poza chmurą srebrną?...



Rys. I. Celnikier

Pono nasi

W szynku na rynku różne harmonia.
To jakby potok górski w dloniach.

Leć i szumi poprzez palce,
eh, zawodackim jakimś tańcem.

Salka niewielka, brudna, niska.
Krąży po salce harmonista.

Nad drzwiami wisi obraz — krzywo.
W kuflach się pieni, śnieży piwo.

Kzeselko chwieje się koślawo.
Wieczór napelnia kąty wrzawą

Zza baru w rudej aureoli
wychodzi dziewczę. Ściera stołki.

Chwieje się w biodrach przy stoliku
— „Prosimy, panie poruczniku”.

I sam właściciel się pojawia
i wyręczając cię — zamawia.

— „Jakże mi miło w moim progu
powitać naszą armię drogą.

Ach, poruczniku! — (Dziewkę nagł!)
To były czasy, niech je diabli.

Człowiek już Polski zapominał.
Kradli. Za byle co kryminal.

Rrali. Wieszali. Wywozili.
Aż wreszcie wy — wojacy mili!

Panie, ten tego, polskie wojsko.
Zaraz inaczej, zaraz swojsko.

Jak w tym — że ojciec do swej Basi,
że słuchaj Basiu — pono nasi —

Biją — jakże mu — w tarabany,
a ojciec — panie — zaplakany

Bo, poruczniku, jak nie płakać,
skoro się serce ma Polaka?”

Obraz na ścianie wisi krzywo.
Popłaz zwolna cierpkie piwo.

Krąży po salce harmonista.
Ktoś nie do taktu w kącie śwista.

— „Ach, poruczniku, serce rośnie!
Tak patrzę na was. Wciąż radośniej!

Lecz w oczach — Iza. Ach, biedna ziemia,
posucha, deszcz — i tak na przemian.

Ot, geografia. Co dwadzieścia
lat — nowa wojna. Landrat w mieście.

Serce się kraje. Ale kiedy
na was spoglądam — furda biedy.

Hm, poruczniku — niech pan powie —
no, tak jak Polak Polakowi.

Przyszłście — dobra! Wojna wojną
Nareszcie pan bóg dał nam wolność.

Ale co będzie potem? Wiem ja,
że wolność, równość — chłopom ziemia.

Lecz po co zaraz ten komunizm —
Nagle — po diable, jak się mówi.

Nie — żeby przeciw — skoro rozkaz.
Ja — nie — a niech mnie ręka boska.

Ale ja widzę, że to właśnie
takiego coś — zaczyna dziać się.

No, poruczniku, niech pan powie,
no, tak jak Polak Polakowi.

Polak z Polakiem przecież mówi.
Biliście się o — — — o komunizm?”

Huknąłbyś pięścią w stół i wybiegł
z tej nory ciemnej, lisiej, grzybiej.

Ale przytrzymał cię za ręce.
— „Wycierpieliśmy się pod Niemcem.

Ach, poruczniku — ja tak szczerze,
jak tylko mówi się z żołnierzem.

Wiem — wy jesteście człowiek frontu.
Nie wasza rzecz — dekrety rządu.

Czasami czuję się jak ryba
wyjęta z wody — gorzej chyba.

Jakby mnie łaps — za grzbiet i w piasok.
Marysia! Piwka armii naszej!

Było tu wczoraj u mnie paru.
A żalu w sercu, pełno żalu.

Rejent, aptekarz — ja im wierzę —
panie, Polacy bardzo szczerzy.

Oni by, tego tam — w potrzebie,
panie, krew z palca, jak bóg w niebie.

Ze łzami w oczach — jak nie płakać,
skoro się serce ma Polaka.

Jak w tym — gdy ojciec Basię prosi
słuchaj...”

Huknąłeś pięścią — „Dosyć!”

W łapę jak rudy lis fałszywą
wcisnąłeś pieniądze za to piwo.

Trzasnąłeś drzwiami. A noc piękna
mienila się jak czarna wstęga.

W chłodne ramiona fal — ze wzgórza
schodziła po gorących różach.

Księżyc koloru letnich wisien
nad miejskim skwerem milcząc wisiał.

Jeszcze przez chwilę dźwięk harmonij
alejką kroki twoje gonil.

Słuchałeś jej ze wstrętem, gniewem,
stojąc pod czarnym, nocnym drzewem

A obok klomb był. A na klombie
jak czarna rana — lej po bombie.

W oddali huczał frontu płomień.
Nagle schyliłeś się i w dłoń

nabrałeś ziemi, z ręki w rękę
przesypywałeś grudki młękkie —

szeptając do siebie w srebrnym mieście —
— „Patrz, oto jestem, znów, nareszcie —

o, ziemio, ziemio —”

Ballada o matce żołnierskiej

1

Skrawku maleńki nad Pilicą,
ziemio przyczółka i przedmościa
ziemio nizinna i piaszczysta,
którą siarczysty ogień schłostał.

Chwilo przedziwnie wielkiej ciszy,
że ludzkie uszy w nią nie wierzą,
Posłuchaj, poruczniku, oto
rzecz o najmłodszym twym żołnierzu.

2

Przez siedem dni i siedem nocy
szła wędrująca krajem wojny,
poprzez spalone wsie i miasta,
wśród śpiewających ludzi — zbrojnych.

Rozpytywała wszędzie, wszystkich,
czy nie widzieli, nie słyszeli.
Tak doszła ponad wody Wisły,
Sierpniowy świt się w łozach bielił.

Ach, rozpoznała go przy promie.
I załamała chłopskie dłonie.

Przez cztery dni i cztery noce
w ogniu wiejącym ponad Wisłą,
jak dziki krzew przy drodze trwała.
A skądś, z daleka chyba przyszła.

Nie dała się odpędzić wartom.
Jak ptak ginęła im w wiklinie.
Milczała, gdy spotkanej nagle,
mówili — „Wracaj, matko, zginiesz”.

Wpatrzona w drugi brzeg ognisty,
wiejący ogniem ludzkiej śmierci,
czuwała nie śpiąc u przeprawy,
tuląc węzelek swój do piersi.

Nie pozwoliła się odpędzić,
choć się wokół tłila ziemia,
tak jak spragniony, który wreszcie
przywarł ustami do strumienia.

Nie wiedział nikt jak tutaj doszła —
jak wiatr sierpniowy się zakradła,
czy jak sierpniowy deszcz spłynęła,
czy jak sierpniowa gwiazda spadła?

Okryta kurzem, prochem — siwa —
na każdy prom jak głodna mewa
czyhała z brzegu — z chłopską twarzą —
po matczynemu taka rzewna.

Aż rozpoznała go przy promie.
Aż załamała obie dłonie.

Nad głową im przeleciał pocisk,
A drugi w Wisłę-rzekę runął.
A była to godzina świtu,
pod tą czerwoną w niebie luną.

Huczały czołgi u przeprawy,
nawolowali się piechurzy.
Ustami wpila się w bandażę,
cicha, milcząca pośród burzy.

— „Synku, syneczku — oto jabłka,
skosztuj” — mówiła szeptem matka

Rozwiązywała swój węzelek,
jak samo serce się otwiera.
W wysokim ogniu, w słupach płachy
biegła ku rzecze tyraliera.

Billy po wodzie smukłe wiosła,
łódź kołysała się na fali.
Rękami chłopca otuliła.
A gorzał wiatr, a świat się palił

— „Synku, syneczku, gdybym mogła
osłonić cię od stał, ognia.”

I okryć choćby chustą z głowy
przed deszczem, gradem tym stalowym.

Synku, syneczku — gdybym mogła
osłonić cię od stał, ognia.”

Ruszył na wschód czerwono krzyski
ambulans — w drogi świtające,
a głowa matki się schyliła
nad chłopcem, jak wieczorne słońce.

Patrzyli sobie długo w oczy.
Huczały obok groźne wozy.

Milczała w huku samochodów,
schylona nad tą głową młodą.

Aż na postoiu frant szelmowski,
z niejedną szramą na policzku,
ujrawszy matkę — zakpił z cicha —
— „Cóż to przy wojsku, wy, dziedziczko?”

W tym wieku kądziel i wręciono.“
Wtedy odparła pewna swego —
— „Rannego wiozę. Od przyczółka,
Spod samej Warkł. Najmłodszego.”



Rys. I. Celnikier

Szofer skrecając papierosa
popatrzył na nią, chrząknął, westchnął —
— „A gdzieś to innych pogubiła,
matko — zapytał — co jest z resztą?”

Jak gdyby w oczach pojaśniła.
I odgarnęła z dumą chustę.
— „Troje na świat wydałam, ano —
dzisiaj komory, izby puste.

Najstarsze jest już kapitanem.
Ma imię — Zofka. Jak sam ogień.
W czołgu pojechał ku Warszawie
ten drugi — średni — niechaj, w drogę.

Nie jestem taka sobie matka
zwykła — żołnierska jestem matka.
I rozwiązała swój węzelek
i wyłożyła śliwki, jabłka.

— „Naści, nie moi. to wy jedźcie.
Przecież jesteśmy jak rodzina.
A kiedyś, kiedyś...” Zapatrzyła,
ej, zamyśliła się. W tarninach

zaśpiewał drożd, a może wilga.
A potem umilkł. — „Kiedyś, kiedy
nie będzie już tej strzelaniny
i tej tulaczki i tej biedy —

zapraszam do mnie — sad mam śliczny.
I nie poskąpię mleka z dzbana.
A za najdzielniejszego z chłopców
wydam mojego kapitana.”

I uśmiechnęła się do siebie.
Do tych jabłonek, śliw pod strzechą.
I do tych strug lubelskiej ziemi
lśniących jak łyzy — łyzy wśród uśmiechów.

3

Chwilo przedziwnie wielkiej ciszy.
że ludzkie uszy w nią nie wierzą
Oto opowieść, poruczniku,
rzecz o najmłodszym twym żołnierzu

I o tej matce od żołnierzy.
Ona nie jedna w twoim kraju.
Więcej nie trzeba słów. Niech cicho
chłopcy przed szturmem zaśpiewają.

Gdy wszedłszy do gabinetu dyrektora — Wasyła Antonowicza — nie było, wezwano go nagle do odlewni — zastałem Wojtkę Kopcę, Mietka Antczaka i Władka Bortkiewicza, pierwszą moją myślą było: „Aha, to w związku z dywizją”. Dlaczego więc potrzęsnałem głową, gdy mnie Kopeć zapytał: czy się domyślam, po co nas wezwano? Czyżby z obawy, że mogę skompromitować się w oczach towarzyszy, gdyby domysły moje okazały się niestudne? Po prostu, po chwili refleksji doszedłem do przekonania, że skoro razem z nami jest tu Władek Bortkiewicz, sprawa nie może mieć nic wspólnego z dywizją.

Dlatego wyłożyłem Władka z naszego towarzystwa? Nie, nie byłimy wrogami. Przeciwnie. Byliśmy zaprzyjaźnieni ze sobą od pierwszego dnia mojego pobytu w fabryce.

Kopcia i Antczaka znałem po bieźnie. Od czasu do czasu, gdy zdarzyło się nam siedzieć razem przy jednym stole i kelnerka spóźniła się z daniami, wymienialiśmy ze sobą kilka słów. Wiedziałem, że Wojtek jest z Lublina, a Mietek z Białegostoku. Że Wojtek został w domu żonę i dwie córki, a Mietek jest kawalerem. Takie i tym podobne szczegóły, jak mi dzieliła się rodacy znalazłszy się z dala od ojczyzny wśród ludzi, którzy okazują wgnębiem wiele serdeczności, ale zbyt są zaprzęgnięci wielkimi wydarzeniami, by zastąpić im dom rodzinny. Na częstsze spotkania nie było czasu. W dni powszednie nie pozwalali na to niedokończone mury fabryki. W niedziele szło się na wieś, by otrzymać tytułem premii przydziały ziemie u chłopów na kartofle. W święta... Święt nie było. Redukowała je do minimum obecność wroga pod Stalingradem. Zresztą, miałem rodaka pod ręką w dużej izbie hotelu robotniczego. Był nim właśnie Władek Bortkiewicz.

Przez dwa tygodnie spałem tuż obok jego tapczanu nie wiedząc, że to Polak. Gdy kierownik Wydziału Administracyjnego fabryki wprowadził mnie do dużej izby, w której wzdłuż jednej ze ścian stało siedem zbitych z nieheblowanych desek tapczanów i pokazał jedynie wolne łóżko, znalazłem w kącie podniosła się głowa blondyna. Spojrzała na mnie najpierw taksująco, potem nieco przychylniej, rzucił w głębi garnka nóż i obrany do połowy kartofel i podał mi rękę otarłszy ją najpierw o watowane spodnie. — Będziemy sąsiadować — powiedział. Oczywiście przy tym śmiały, jak gdyby mówił: „To właściwie przesada, sąsiadami jesteśmy tu wszyscy, jak nas tu siedmiu”.

W istocie, jak tu mówić o bliskim i dalszym sąsiedztwie, gdy siedmiu ludzi korzysta z jednej izby, z jednego pieca kuchennego, z jednej uniwalki, z jednej drewnianej konwi, w której każdy z nas na zmianę przynosił codziennie wodę z oddalonej o sto kroków studni. A jednak od pierwszego dnia przywiązałem się najbardziej właśnie do sąsiada z lewej strony, choć trzeba przyznać, że zarówno ten z prawej, szokowany spawacz z dalekiego Donbasu, jak pozostali lokatorzy wspólnego pokoju czynili wszystko, by ująć mi nieco goręczy pierwszy rozczarowań w fabryce.

Do fabryki w N. wybrałem się jesienią 1942 roku. Piękna była wówczas jesień nad Wołgą, ale ciężka i zła. Hitlerowcy parli na Stalingrad. Anders wyprowadził dywizję do Iranu. W szkole w W., gdzie profesorowałem od roku, czułem się źle. Zdawało mi się, że wszyscy patrzą na mnie ze zem. Postanowiłem jeszcze raz spróbować, czy mi się nie uda dostać do Armii Czerwonej. Komisja odrzuciła mnie jednak i tym razem. Ta sama śpiwka: minus sześć dioptrii. Niezdany do służby frontowej. Wtedy rzuciłem szkołę i zgłosiłem się do pracy w N. Będę przynajmniej wyrabiać pociski, którym inni będą prażyć faszyzów. Przy belofrowaniu koniec wojny mnie nie zastanie. Cały miesiąc włókł się pociąg do N. Na każdej większej stacji, a nieraz i na mniejszych kierownicy ruchu przetrzymywali nas po kilka godzin, a czasem kilka dni, by przepuścić transporty idące na zachód. Nie wiedziałem, że pociąg te wiozą sprzęt i amunicję dla przyszłych zwycięstw stalingradzkich. Gdybym to wówczas przeżywał, nie kłamałbym tak w duchu...

Jakież było moje rozczarowanie, gdy przyjechawszy do N. zamiast fabryki produkującej amunicję, zobaczyłem całe mnóstwo dopiero co rozpoczętych hal fabrycznych. Wielkości tych, którzy, w chwili gdy waży się losy narodu, budują fabrykę nie dla wojny, ale dla spodziewanego pokoju, nie dostrzegłem. Po prostu dlatego, że zabrakło mi wiary, która wszystkich dokoła ożywiła, choć nie ujawniała się w hałaśliwym powtarzaniu słowa „zwycięstwo”, lecz w zawiątej pracy. Słowa dyrektora, że dla zwycięstwa można pracować wszędzie, nie bardzo mi trafiły do przekonania.

Przez pierwsze dni snułem się po fabryce jak zacządniony. Czułem się oszukany. Nie chciałem, by mnie koniec wojny zasłonił jako nauczyciela, a tymczasem groziło mi, że mnie zastanie jako planistę w oddziale głównego mechanika! Przechodziłem obok robotników montujących tokarki w halach bez dachów, bez szyb w oknach: nie wzruszało mnie to. Widziałem jak młode dziewczęta o delikatnych twarzach, chyba prosto z ławy szkolnej, chwytaly potężnymi ob-

cęgami kawałki rozżarzonego żelaza i ani drgnąwszy zręcznie podstawiali pod potężny młot kowalski; i to nie sprawiło na mnie wrażenia. Jedno mi tylko imponowało: pogoda ducha, z jaką moi towarzysze ze wspólnego pokoju krzatali się wieczorem po powrocie z pracy. Jedni uzupełniali skromną kolację stołową gotowanymi w domu kartoflami (dzienna racja chleba została skonsumowana jeszcze do obiadu), inni czerwali bieleżne albo arali, w loteryjkę. Po nim z nich nie można było poznać, że mają za sobą jedenaście godzin wyjątkowej pracy w ciężkich warunkach budującej się fabryki, gdzie często jeszcze brakowało niezbędnych narzędzi, gdzie nie było stało na miejscu, gdzie wszystko rodziło się wśród bólu. A już trudno było uwierzyć, że niemal wszyscy — między nimi Władek Bortkiewicz — jeszcze dwa miesiące temu pracowali w stalingradzkiej fabryce traktorów pod niestannym gradem nieprzyjacielskich bomb.

Z początku wydawało mi się, że pogoda ducha moich towarzyszy bierze się z lekkomyślnej beztroski. Szybko przekonałem się jednak, że to nie jest tani optymizm ludzi biorących życie lekko. Wystarczyło zobaczyć, jak surowy wyraz przybrały ich twarze, gdy wieczorem ktoś z nich czytał na głos „Prawdę”. Nie, oni zawsze pamiętali o swych dalekich towarzyszach na froncie, o któ-

domiar złego Władka jeszcze nie było. Został po pracy w fabryce, by wykonać jakieś nagłe zamówienie.

Położyłem się, choć wiedziałem, że nie tak prędko usnę. Na prawo ode mnie leżał już spawacz z Donbasu, sympatyczny Kirilenko, o małych ruchliwych oczkach. Czułem na sobie jego spojrzenie. Domyślałem się, że chce mnie o coś zapytać, ale patrzyłem uparcie w sufit, udając, że nie nie sprostęgam. Kirilenko nie dał jednak za wygraną.

— Czy ty wiesz — byliśmy oczywiście wszyscy na „ty”, od pierwszego zresztą dnia — że Wołodia to Polak?

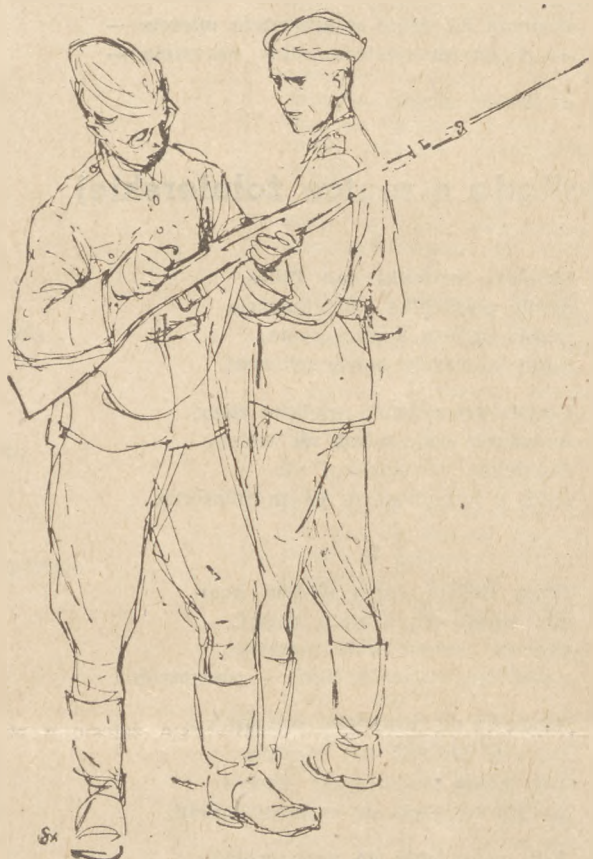
W pierwszej chwili sens tego wyznania nie bardzo jakoś do mnie dotarł.

— Jak to Polak? — spytałem obojętnie.

— No tak, on nawet mówi świetnie po polsku.

Spojrzałem na niego. Kirilenko ze swymi siwymi włosami już wiotkami nie wyglądał na kpiarza. Cisnęły mi się na usta różne pytania. Dałem jednak spokój. Po co gmatwać i tak podejrzanie wyglądającą sprawę, kiedy Wołodia wnet powinien nadejść. Najlepiej będzie wyjaśnić rzecz z nim samym, bez pośredników.

Długo czekałem owego wieczora na Władka. Wrócił o północy. Cicho, żeby nikogo nie zbudzić, rozebrał się i położył do łóżka.



Rys. Szymon Kobyliński

— Wołodia? — zapytałem szepem.

— Nie śpisz?

— Czy to prawda, żeś ty Polak? — zapytałem go po polsku.

Odpowiedział bez namysłu: — Prawda.

Słowo „prawda” brzmiało tak samo po polsku jak po rosyjsku, niewiele z tej odpowiedzi wynika — w każdym razie potwierdziło się, że Władek rozumie język polski.

— A dlaczegoś o tym ani słowa nie wspominał? — zapytałem z wyrzutem w głosie.

Roześmiał się cicho. Chwilę milczał. Potem powiedział najczystsza polszczyzną: — Nie było okazji.

— A może się wstydzisz?

Brzmiało to bardziej szorstko, niż zamierzałem. Nie panowałem nad głosem.

— Wstydzisz się?

Trudno określić ton, jakim to powiedział. To nie było zdziwienie. Nie było w tym również nic z oburzenia. Może jedno i drugie i w dodatku jakiś przeblisk zastanowienia. Żałowałem, że w pokoju jest ciemno, że nie mogę dojrzeć wyrazu jego twarzy.

— Nie, nie mam czego się wstydzisz — dodał po chwili, — Gdybyś wiedział, Janek...

I jakby dla przekonania mnie, że nie ma czego się wstydzisz, opowiedział mi historię swojej polskości. Brzmiała trochę jak sensacyjna powieść. Powieść o dziejach trzech pokoleń.

Najpierw dziadek. Władysław mu było na imię. Z rodziny szlachectwa na Podlasie. O starannie pielęgnowanych tradycjach narodowych i niemieckim starannie hodowanych nawykach życia ponad stan. Rezultat? Przeciwnie brzmie wspomnień o dawnej rzekomej świetności i niemożności związania końca z kołosem. Gdy trzeba było płacić za grzechy ojców, kozłem ofiarnym został wspomniany Władysław. Oddany do szkoły kadetów w Brześciu Litewskim, miał swoją karierę wojskową wyznaczyć przebiegiem, która się nagle otwierała przed fortuną rodzinną.

Powstańca styczniowy zastało go w Wilnie w stopniu porucznika. Gdy ogłoszono ukaz zezwalający oficerom Polakom, którzy nie chcą białemu udziału w walkach przeciw powstańcom, na podanie prośby o przeniesienie w głąb imperium, Władysław Bortkiewicz nie skorzystał ze „wspólnego” cesarskiego gestu. Tak się bowiem złożyło, że w tym

LEON PRZEMSKI

Orzeł czwartej

samym czasie zakochał się w Rosjance, córce jakiegoś tajnego sołtysa. Na dźwięk jej imienia — wplynęła jednak obawa, że zrazi sobie ukochaną. Raczej chodziło mu o to, żeby się z nią nie rozstawać. Ukaz carski przypałał w okresie, gdy miłość obojga młodych ludzi była jeszcze w powijakach, kiedy to nie wiadomo, czy przekomarzenia dziewczęce nie były tłumaczone sobie jako oznakę hamowanej dziewczym wstydem wzajemności, czy przyszło im grzeszonościami kosza. Jakże zdumiał się młodzieniec, gdy oświadczyłszy się po jakimś czasie ze swą miłością pannie Natalii wyszywał z jej ust pytanie, czy wyobraża sobie, że ona uwierzy w miłość renegata. Co więcej, zażądała, by wstąpił do oddziału powstańczego i z bronią w ręku wyjechał, że mimo mundur rosyjskiemu nie przestał być dobrym Polakiem.

Potem wypadki potoczyły się szybko. Władysław Bortkiewicz związany z powstańcami, podwójnym węzłem, wstąpił się wkrótce jako jeden z najdzielniejszych partyzantów. Uwijał się wszędzie ciągnąc za sobą legendę tajemniczego „Władka”, oficera rosyjskiego, który przyszedł do powstania, by razem z nim przeprzeć kraju wieszanie. Dziś był w „partii” Sierakowskiego, jutro w Wróblewskiego, a przez jakiś czas dowodził nawet własnym oddziałem w okolicach Lidy. W końcu jednak przyszła kreska i na niego. Ranny ciężko w jednej z potyczek, został wzięty do niewoli i umieszczony w Wilnie, w szpitalu więziennym. Murawiew codziennie przychodził do jego pokoju i dopytujący się lekarzy, kiedy pacjent wyzdrowieje. Nie mógł doczekać się dnia, w którym więzień będzie mógł stanąć na nogach i pod eskortą plutonu egzekucyjnego udać się na miejsce stracenia. Żadna matka nie wyczekiwała z taką udręką wyzdrowienia syna, jak gubernator wileński pierwszy rumieńców na twarzy „Władka”.

Rany okazały się silniejsze od pobożnych życzeń Murawiewa. Nim „porucznik Władek” wyjechał z nich, wygłosił zarzewie powstania. Gdy wyzdrowiał na tyle, że mógł stanąć — bez przenosi — przed sądziami, Murawiew potrafił wydać tylko wyrok śmierci, ale żeby go wykonać nie starczyło mu już władzy. Jeszcze tylko tyle zdołał wykonać, że zainscenizowano przyjęcie od dawna zwyciężając straconie. W ostatniej chwili, gdy kat zakładał „Władkowi” stryczek na szyję, przycwałował oficer na koniu i ogłosił, że car zamienił mu w wielkiej swej łaskawości karę śmierci na dożywotnie zesłanie. Razem z nim udała się na wygnanie pociągająca mu w więzieniu Natalia Iwanowna.

— Dziadek znałeś? — przerwałem Władkowi.

— A jakże. Moja polszczyzna to jego zasługa. Gdy w 1917 r. wyjechał z ojcem do Leningradu byłem wtedy dziesięcioletnim smykem — dziadek miał już 77 lat. Ale krzepki był jeszcze, wszystkich dokoła zadziwiał swoją siłą. Babcia do brzo nie pamiętam. Wiem o niej tyle co z opowiadań dziadka. Ale wiele o niej nie mówił nigdy. Znacznie później dopiero zrozumiałem, dlaczego. Zdawało mi się widocznie, że aby o niej mówić, potrzeba języka poety, a takim on nie władał.

— A ojciec mówił ci coś o swojej matce? — zapytałem.

— Ojciec? — powtórzył. — Z nim była znowu inna historia. Wiem, że bardzo kochał matkę. Ale... widział ojciec mój to był człowiek innego pokroju. Nie został pasiecznikiem jak dziadek. To, co dziadkowi wydawało się szczytem marzeń o swobodzie — ule, pszczoły, łąka, las, przestrzeń — mojemu ojcu już nie wystarczało. Przeciwnie. Nie pochwalał trybu życia swego ojca. Widział w nim zaklepienie się, sobkostwo. „Ty, tato — mawiał — siedzisz tu jak w więzieniu, od świata się odgradzasz”. Ja tych rzeczy wówczas nie pojmowałem. Gdy podrosłem i zrozumiałem, babcia już nie było na świecie. Dziadek zresztą, choć kłócił się często z ojcem, nigdy go poza ojcem nie ganił. Przeciwnie, stał w jego obronie. I mnie go stawiał za przykład.

„Ja — mawiał — ojca drogę nie pochwalam, ale to dzielny człowiek. Jego słowo jest słowem.” W 1905 roku rewolucja zastała go gdzieś w rodzinnych stronach dziadka. Długo nie było o nim słyhać. Wrócił dopiero po kilkunastu miesiącach. Na koszt państwa. Etapem. Jako zesłaniec. Potem się ożenił. Matka moja, pół krwi Polka, pół krwi Rosjanka zmarła w pogoju. Nie znalazłem jej. Wychowała mnie babka, potem dziadek. Ojciec, maszynista kolejowy, mało był w domu. W 1917 r. na wieść o wybuchu rewolucji wybrał się do Leningradu. Dlaczego wyjechał, dlaczego mnie zabrał ze sobą mimo protestów dziadka, wówczas nie wiedziałem. Cieszyłem się z wyjazdu, wolałem więc nie wnikać w jego przyczyny. Pół roku potem znalazłem się sam jeden na ulicy wielkiego miasta ogarniętego plomieniami rewolucji. Ojciec zginął gdzieś na przedpolach Leningradu. Milionowa rzesza bezdomnych dzieci powiększyła się o jedenastoletniego włóczęgę.

O sobie samym nie powiedział mi Władek wiele. Rzekł, że to nieciekawie. Ot, kilka lat waleśania się po ulicach z tabunem równie dzikich jak on chłopów. Potem jeden dom dziecka, drugi. Ucieczki i próby ucieczek i wreszcie trzeci dom, w

k którym już zapuścił korzenie. Wiedząc trafiał na odpowiedniego wychowawcę.

— A dziadek? — zapytałem.

Razu jednego — była taka chwila w jego bezdomnym życiu, gdy pamięć ojca i dziadka narzuciła mu się z całą siłą bolesnego wyrzutu — wsiadł do pociągu idącego na wschód, ale go złapano. To było właśnie w przerwie między pierwszym i drugim domem dziecka. Później doszła go wiadomość, że dziadek umarł.

— Słuchaj, Władek. — Tak go wtedy po raz pierwszy nazwałem i oddał pozostał dla mnie Władkiem — czyś ty... czyś ty partyjny?

— Nie. Jakoś się nie składało. Zawsze uważałem, że... jakby to powiedzieć... po prostu, że nie jestem jeszcze godny.

— To znaczy, że nikogo nie masz na świecie?

— Jak to nikogo nie mam?

Zawiesił głos na sekundę.

— A fabryka, a ci wszyscy tutaj... Tyle tylko: „a fabryka, a ci wszyscy tutaj...”, jakby uważał, że tymi słowami wszystko już wyraził. Zapomniał, że rozmawia z człowiekiem, który przyszedł z innego świata.

Chwilę trwał w milczeniu. Każdy układał sobie w głowie wszystko to, co napłynęło wraz z fałdą wspomnień.

Po chwili zapytał go znowu:

— Słuchaj, Władek, czy ty byś nie wrócił do Polski po wojnie? Przecież...

Nie dał mi skończyć.

— Nie, do pańskiej Polski nie wróce.

— Dlaczego zaraz do pańskiej? Po takiej wojnie jak ta... Przecież to niemożliwe, żeby się w Polsce nie zmienilo. A do nowej Polski? Ludowej? Powiedz, wróciłbyś?

— Chyba nie. Co ja bym tam robił? Nie, chyba nie. Widzisz, w moim wieku szukać nowej ojczyzny... Czy ja wiem... Dlatego, że dziadek walczył za jej wolność i niepodległość? Zresztą on walczył również

JANINA BRONIEWSKA

Warszawskie

28 maja, w Drugiej Dywizji. Sytuacja nadal nie wyjaśniona. Chyba jednak zanosi się na dłuższe „wakacje”, skoro nawet ta najbardziej „niecierpliwa” Druga Dywizja poświęca się całkowicie muzeum piękny. Robią wielki festiwal teatralno-estradowy twórczości artystycznej.

Zaczynam, jak zwykle, od gospodarza, który wychodzi mi na spotkanie w piękny niedzielny ranek. Na chłopskim podwórku grzebią w piachu kury, białe gołąbki gruchają na kalenicy szeroko otwartej stodoły. Prawdziwa sielanka wiejska. Pokaz odbywa się we wsi, która jest dawną niemiecką kolonią. Kułackie, pięknie budowane zagrody — siła najemna była ukraińska (czyż to miał być bastion, na tym terenie, obsadzonym przez sanacyjny osadników wojskowych? Nie siedzieli tu niemieccy koloniści bez błogosławieństwa ozonowych czynników rządowych, to pewne). Koloniści wynieśli się co do nogi z hitlerowskimi rodakami przed przyjęciem Armii Czerwonej.

Jesteśmy już na sali teatralnej. Gotyckie okna, ściany wybielone po purytańsku — dawna „kircha” baptystów.

Zasiadłam, jak gość honorowy, obok gospodarza w pierwszym rzędzie. Ano, zobaczymy, komu te przypadnie palma pierwszeństwa, zwłaszcza że twórczość żołnierska jest nie tylko samorodna, ale najbardziej współczesna. To wszystko, co się dzieje na scenie, dzieje się dziś w każdej jednostce. Scena u lekarza — skecz. Śmieśna, a prawdziwa jak samo życie. Licho wie, czy to nie skuteczniejsze wychowawczo od najszorstszego kazania samego szefa kompanii?

Produktował się zespół 2 PAL-u. Teraz występuje 6 pp. Śpiewacy i recytatorzy. W teksty poetyckie jesteśmy zasobni — mamy przecież czterech własnych, umiudowanych poetów: Sienkiewicza, Ważyka, Putramenta i Pasternaka.

4 pp. wystąpił w repertuarze gimnastyczny — akrobatycznym. 5 pp. trochę podrabia lwowskiego Szczęścia i Tońcia...

Teraz zaczyna się produkować fachowcy. Teatr Waldena. Konferansjer dowcipny, bo publiczność pokłada się ze śmiechu, (siedząc obok mnie Dowódca także). Słowiczek Celińska, sopran w drelichu, złamie dziś niejedno serce. Oj, niedobrze... Całkiem nowy numer: „Pomniki warszawskie”. No, ładna historia Bielony sufit (żeby tam choć było jakieś malowidło!) Na co się będą patrzeć? A przecież trzeba w górę — inaczej kompromitacja zupełna. Pocięknę z oczu ciurkiem.

Cóż za szatan wymyślił podobną historyjkę? Idą sobie chłopaki na zachód. Kostiumy autentyczne, pieszki najprawdopodobniej. I zachciało

za wolność tych, wśród których ja znalazłem drugą ojczyznę.

— Ale twój ojciec walczył w 1905 i 1917 równo o wolność mojej ojczyzny.

— Czyż ja nie czynię tego samego przy mojej tokarce?

Na ten argument nie miałem już nic do powiedzenia. I choć w głębi duszy czułem, że nie wyczerpałem wszystkich swoich argumentów, dałem mu wówczas spokój. I potem również nie wracałem do tego tematu, choć zaprzyjaźniliśmy się jeszcze bardziej. Może dlatego, że przyznawałem mu po części rację. W istocie, po co ma wracać do ojczyzny swego dziadka, skoro sam znalazł ojczyznę tak wolną, o jakiej ja we śnie nie marzyłem. I dlatego, gdy w kilka miesięcy później — była już wówczas nad Obem wiosna, taka jaka bywa tylko w głębi Syberii, ciepła i zasnawa we wszystko, co niesie lato, ale bez letniego żaru — spotkałem w mieście na ulicy przy parkiem Lucka Sz. — sześć miesięcy mieszkaliśmy w tym samym mieście nie wiedząc nic o sobie — i postanowiliśmy zgłosić się jako ochotnicy do formowanej dywizji, nie pomyślałem nawet o tym, że mogłbym także podać nazwisko Władka Bortkiewicza. Mało tego, po powrocie z miasta do domu — fabryka znajdowała się w odległości sześciu kilometrów od N. — nie wspominałem nawet Władkowi o spotkaniu i decyzji, bądź co bądź ważnej dla mnie i dla niego, skoro miała nas rozdzielić, kto wie, czy nie na zawsze, w każdym razie na bardzo długo.

Oto, dlaczego na widok Władka w gabinecie dyrektora zacząłem wątpić, czy wezwanie ma coś wspólnego z dywizją. Na Wasyła Antonowicza nie czekał długo. Wszedł, ogarnął nas długim spojrzeniem, usiadł, odsunął od siebie papiery leżące na biurku, spojrzał znowu na nas.

— No cóż, przyszła kolej i na was.

Spojrzelśmy na siebie niepewnym wzrokiem.

— Trochę żal rozstawać się z wami, Dobrych z was pracownicy. Ale

k o m p a n i i

cóż, ojczyzna woła. Tym razem wasza. Krótko mówiąc otrzymałem polecenie zwolnienia was. Pójdziecie do swojej dywizji. *Kostiuszko*, prawda? — zwrócił się do mnie.

Wytłumaczyłem mu, jak mogłem kto to był *Kościuszko* i dlaczego jego własne imieniem nazwano pierwszą dywizję.

— *Prawilno* — powiedział potakując głową — *prawilno*. No coż, nie pozostaje mi nic innego jak życzyć wam zwycięstwa.

Wszystko to spadło na mnie tak nagle, że zapomniałem o Władku. Wstałiśmy, Wasył Antonowicz pożegnał się z każdym z nas. Gdy podawał rękę Bortkiewiczowi, ten nie patrząc mu w oczy powiedział:

— Wasylu Antonowicz, ja bym wolał do Armii Czerwonej. Ja...

Dyrektor nasunął brwi na oczy.

— Wy Władisław Jarosławowicz (zapomniałem nadmienić, że ojcu Władka — urodził się w roku Komuny Paryskiej — było Jarosław, po Dąbrowskim, z którym dziadek kolegował w Brześciu), już raz prosiliście zdaje się, żeby was odesłać do Armii Czerwonej...

— Tak, odmówiono mi.

— A dlaczego wam odmówiono, chyba wiecie?

— Tak, fabryka uważała, że tu jestem potrzebniejszy.

— Skoro więc dziś fabryka mimo wszystko was zwalnia, to znaczy, że partia i rząd przywiązują wielką wagę do tej sprawy. Spodziewałem się więcej... zrozumienia...

Władek zarumienił się po same uszy.

— No, życząc szczęścia — Wasyl Antonowicz wyciągnął do niego rękę.

✱

Tak się złożyło, że do miejsca formowania dywizji pojechałem nie transportem, jak pozostali „rekruci”, ale oddziennie i to po wszystkich,

p o m n i k i

Cóż, wędrujemy dalej, w stronę Placu Zamkowego, wzdłuż trzykrotnie starych kamieniczek.

I oto na jej szczycie już stoi król Zygmunt. Pochylił nieco głowę i patrzy w dół na miasto, we mgłę wieczorną spowite. Prawą nogę król ugiął nieco w kolanie, aż rozsunęły się łuski nagolennika w bronzie kutej, posągowej zbroi. Zadumał się surowo. Nad czymś to

Dlaczego tak, a nie inaczej, wówczas nie wiedziałem. Zresztą nie pytałem o to. Uważałem się już za zdyscyplinowanego żołnierza i wykonywałem wszystkie polecenia władz, w tym wypadku Wojenkomatu. Nie omieszkalem jednak być na dworcu przed odjazdem transportu. Władka mimo wielkiej ciżby zminobilizowanych znalazłem łatwo. Stał na uboczu, czyścił menażkę pod pompą kofejową. Jak wszystko, wykonywał tę czynność z wielkim namaszczeniem.

— No i jak? — zapytałem patrząc mu prosto w oczy żeby mi nie uciekł gdzieś wzrokiem, bo minę miał niezbyt tęga.

Wzruszył ramionami.

— Cóż, dopiero się zaczęło... Nic nie wiadomo...

— Zawarłeś już z kimś znajomość?

— Tak prędko chciałbyś — odpowiedział wymijająco.

— Może ci w czymś pomóc? Pamiętaj, jedzie z tobą Kopec, Antczak...

Znowu wzruszył ramionami. Na tym się nasza rozmowa urwała. Rozległ się gwizdek na zbiórce. Władek ruszył pędem do szeregu nie zdążywszy się nawet ze mną pożegnać. Przesłałem mu słowa pożegnania z daleka. Na mój uśmiech odpowiedział nikłym rozjaśnieniem twarzy.

✱

W Sielcach nie mogłem mimo najlepszych chęci spotkać się z Władkiem. Miałem własne kłopoty.

Najpierw kręcił nade mną głową lekarz. Macał, pukał i dosłuchał się jakichś szmerów w sercu. Tłumaczyłem mu, że stawałem kilkakrotnie przed różnymi radzieckimi komisjami lekarskimi i w żadnej z nich serce moje nie budziło obaw. Owszem, oczy moje im się nie bardzo podobaly, nie przeczę. Ale Jerce? Ani razu. Nic nie pomogło. Musiałem stanąć przed jakimś starszym lekarzem

i ten dopiero co prawda nie bez wahań, uznał mnie za zdolnego do służby liniowej.

Przychodzę z kartką od lekarza do sztabu. Major M. spojrzął na mnie, potem na kartkę.

— A wy co tu robicie w Sielcach?

Czuję, że mi ognie ogarniają twarz i jezorami sięgają aż za same uszy. Patrzę na majora. Słowa żadnego nie mogłem z siebie wydobyć. Coś się we mnie jakby zapadło.

— Wyście mieli przecież pojechać prosto do Moskwy. Związek Patriotów Polskich was się tam domaga.

„Może w Moskwie jest również jakiś punkt formowania dywizji?” — pomyślałem.

— Mnie wszystko jedno, ale skierowanie miałem do Sielc.

Pokazałem mu papiery.

— Hm... Musiała zająć jakaś pomysłka. Wyście mieli pojechać do Moskwy i pomóc tam w zorganizowaniu wydawnictwa dla wojska. Albo ZPP nadał niejasny tekst, albo Wojenkomat niewłaściwie go odczytał i zamiast do Moskwy zawędrowałaście do Sielc.

Zacisnąłem mocno zęby, żeby nie wybuchnąć, nie wiem czym: płaczem, czy obelgą.

To z planisty u głównego mechanika mam się zamienić w redaktora strawy duchowej dla żołnierzy? Znowu zamienił strzyk... Zaczynałem wierzyć w naukę Buddy o wędrowce dusz. Ileż wcielił mam jeszcze przejść, żeby się dostać na front?

Powoli świtało mi w głowie. To dlatego zamiast wysłać razem z całym transportem, skierowano mnie oddzielnie. A ja niepoprawny marzyciel myślałem, że to pewnie dlatego, iż mam zostać przynajmniej szefem dywizji. Wobec czego nie wypada, bym jechał razem z ciurami.

Rozpacz moja musiała w bardzo widoczny sposób odbić się na twarzy, bo major M. spojrzął na mnie jakoś dziwnie, zatrpołał rzesami i opuściwszy wzrok utonął znowu w moich papierach. Postanowiłem skoryzować z chwili jego słabości. Zaczęłem mu opowiadać o swoich perypetiach, o mirażu frontu, który uciekał ode mnie za każdym razem, ilekroć zdawało mi się, że jest już tak blisko, iż można go uchwycić rekoma. Mówiłem beładnie i szybko, tak szybko, jak tylko mogłem, żeby jak najwięcej zmieścić w słowach.

— No zobaczymy — przerwał mi.

To „zobaczymy” trwało cały tydzień. Czułem się jak zawieszony między niebem i ziemią. Pukałem do wszystkich drzwi, nachodziłem bezczynie — wbrew wszelkim przepisom i regulaminom, zresztą nie trudno mi to przychodziło, bo były dla mnie wówczas chińszczyzna — wszystkich znanych bez względu na stopnie i szarże. Niekiedy usiłowaliśmy przekonywać, że w Moskwie też będę pracował dla frontu. Powoływali się na słowa Stalina o znaczeniu zaplecza. Inni przyrzekali, ale tak jakoś półgębkiem, czulem, że chcą się mnie pozbyć. Inni znowu — wyraźnie to zauważyłem — unikali mnie, traktując jako nieszkodliwego wprawdzie, ale naprzykrzonego maniaka. Wreszcie po tygodniu nastąpiła decyzja, że mam pozostać w Sielcach. Po dziś dzień nie wiem, komu ją zawdzięczałem.

Zajęty sobą przez cały czas nawet nie pomyślałem o Władku. Tym bardziej więc ucieszyłem się, gdy spotkałem go w czwartej kompanii, do której i ja zostałem przydzielony. Zastałem go przy pracy. Wbił ostatnie kołki do namiotów, które przez kilka miesięcy miały nam służyć za dom. Czynił to, jak wszystko, z wielką godnością. Na mój widok uśmiechnął się. Uścisnęliśmy się serdecznie. Jak gdybyśmy się od roku nie widzieli. Odsunąłem się od niego na krok, by mu się przyrzec z przyszłej perspektywy. Zmienił się trochę Władek. Znikła z siwych jego oczu dawna pogoda.

— No, i jak, Władek? Mocno ganiąją?

Spojrzał na mnie zdziwiony. Nie mogłem zrozumieć, czy dlatego, że nie znał tego specyficznego wyrażenia żołnierskiego, czy też dlatego, że jeżeli mu coś dokuczało, to chyba nie wysiłek.

— Zie wyglądasz — stwierdziłem obrzucając go krytycznym spojrzeniem.

Wzruszył ramionami.

— Tęsknisz za fabryką? — zapytał.

— Za fabryką? — powtórzył za mną. — Chyba nie.

Nie więcej się od niego nie dowiedziałem. Trochę byłem zły na niego, że mi zepsuł radość pierwszego dnia pobytu w kompanii. Dziwaczny trochę, pomyślałem.

Zaczęły się powszednie dni żołnierskie, skrupulatnie rozmierzone. Pobudka, bieg na przelaj do Oku z ręcznikiem i mydłem w ręce, apel poranny, śniadanie, ćwiczenia przedpołudniowe, obiad, krótki odpoczynek, pogadanka polityczna, znowu ćwiczenia, czyszczenie broni, kolacja, apel wieczorny — i oto zbliżał się o dzień do frontu. Wielkość tych pierwszych dni nie dołądo nie przyciemić, nawet ciągłe urąganie ka-

prala Szkuty, przedwojennego zupaka, który jeszcze nie zrozumiał, że jest dowódcą plutonu w nowym, innym niż tamto dawne, wojsku. Oczywiście można było nie czekać, aż pojmie, że coś niecoś się na świecie zmieniło, i spróbować skłonić go perswazją do zastąpienia niektórych metod innymi, ale nie było po prostu kiedy. A poza tym pamiętało się o tym, że jego zbytnia gorliwość, jakkolwiek by było jej źródło, zgadzała się ściśle z naszym najgłębszym pragnieniem, by w jak najkrótszym czasie stać się dobrymi żołnierzami.

Gorzej było z Władkiem. Mimo że mówił po polsku nie gorzej od Szukuty, nie potrafił w żaden sposób znaleźć wspólnego z nim języka. Nie ośmielił się wprawdzie ani razu jawnie protestować przeciw niewybrednym metodom wychowawczym, ale widać było, jak się wewnątrz jeży. Sprawa była tym trudniejsza, że na pozór nie mógł Szkucie nic zarzucić. Czyż można kapralowi brać za złe, że wymaga od niego nienagannego „prezentu broń”?

— Już wolałbym — tłumaczył mi raz podczas obiadu (jedliśmy z jednej menażki) — żeby mnie zwymyślał. A on nic, tylko mierzy mnie swoimi małymi oczkami i kpi sobie ze mnie w duchu: „Eh ty, ruski Polak, coś niedobrze ci idzie”.

Czułem, że chmury zbierają się nad biednym Władkiem i że lada dzień uderzy grom, ale — przyznam

— Musiał, cholera, znaleźć — mruknąłem.

Władek wzruszył ramionami.

— Trudno, znaleźli to znaleźli. Karę trzeba ponieść. Ale zaraz jutro staję do raportu. Muszę się dostać do Armii Czerwonej.

— Ba! Muszę...

— Przecież siłą nie będą mnie trzymali...

Nic na to nie odpowiedziałem, nie chciałem go drażnić. Przyznam się, że w duchu życzyłem mu powodzenia. Wolałem z nim się rozstać, niż patrzeć bezradnie, jak marnieje w oczach.

✱

Głos trąbki wyrwał mnie nazajutrz z głębokiego snu, choć w niedzielę dzień żołnierski zaczynał się o godzinę później. Chwilę leżałem z zamkniętymi oczyma. Gdy uniosłem powieki, zobaczyłem już tylko pochylone plecy kolegów, sznurujących pośpiesznie buty. Łóżko Władka obok mnie było nie rozeslane.

Rozpoczął się dzień niedzielny, tym różniący się od poprzednich, że po śniadaniu udaliśmy się do odległej o dwa kilometry łaźni. Na kąpiel nie musieliśmy czekać. Woda była już zagrzana. Ale nie widziałem nigdzie Władka. Byli tylko Mech i Molski, jego towarzysze niedoli.

— Co z Bortkiewiczem — zapytałem Zygę Molskiego. „Czyżby chło-



Rys. Szymon Kobyliński

się — nie przypuszczałem, że to tak prędko nastąpi.

Było to w sobotę, pamiętam, jakby się to dziś działo. Wysłaliśmy wówczas na ćwiczenia bez broni. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, bo Szkuta pozostał w „koszarach”. Zastąpił go kapral Fudala, chłopak młody, lubiany przez wszystkich, o którym wiedziałem, że jest przychylny Władkowi. Ćwiczenia pod jego kierownictwem miały przebieg znacznie spokojniejszy niż zwykle, nie było żadnego ujadania i Władek w owym dniu wykonywał wszystkie obroty o wiele sprawniej, powiedziałbym nawet, bez zarzutu, gdyby mnie, stawiającemu pierwsze kroki w tej trudnej, jak mi się zdawało, dziedzinie, dane było o tym sądzić. Z ćwiczeń wracaliśmy jak zwykle z piosenką na ustach, ale piosenki w tym dniu były jakieś weselsze niż zawsze. Ba, stwierdziłem, że nawet Władek, który zwykle tylko markował ustami, że nuci wraz z innymi, tym razem dość głośno śpiewał o Kasi, co wołki pasala, choć, jak wiedziałem, nie znosił tej i podobnych jej piosenek, jakie jeszcze w pierwsze dni dywizji żołnierze śpiewali.

I później, po powrocie do namiotów, zachowaliśmy dobry humor. Raz tylko przez sekundę coś mnie tknęło, gdy podchwyciłem pełne drwiny spojrzenie, jakim kapral Szkuta obrzucał w przelecie Władka. On, podniesiony na duchu sukcesami owego dnia, nie zauważył tego, ale ja niespokojny wciąż o niego, miałem już wystrzony wzrok, i małe złośliwe oczy Szukuty nie wróżyły nic dobrego. Zapomniałem o tym w ciągu wesołego zawsze popołudnia sobotniego, niosącego w nadzdrzu niedzielny odpoczynek. Do apelu wieczornego stanęliśmy ochotczo. Raport przyjmował, i to pamiętam, szef kompanii, sierżant Kaczyński, stary „Kaczor”, jakśmy go między sobą nazywali. Już zdawało się nam wszystkim, że udany dzień dobiegł końca nie zakłóconym chmurami, gdy „Kaczor” zaczął gońcowi kompanii podać sobie księgę kar i pochwał i zaczął czytać: „Władysław Bortkiewicz, Antoni Mech, Zygmunt Molski dyscyplinarnie wykopiać przez noc dół na latrynę dla kompanii i na godzinę przed pobudką udamą się do łaźni, żeby dla całej kompanii przygotować ciepłą kąpiel. Kary tej udzieli im dowódca za nieutrzymywanie broni w czystości”.

Spojrzałem spod oka na Władka. Stał blady z zacienionymi ustami. Byłoby tylko nie wybuchnąć, pomyślałem. Zapanował nad sobą, choć wiedziałem, że go to kosztuje wiele wysiłku. Posłaliśmy w milczeniu do namiotów. Ja, by się położyć, on, by zabrać ze sobą tytoniu na całonocną pracę. Wziąłem do ręki karabin Władka i wyszedłem przed namiot, by zobaczyć, czy jest naprawdę zanieczyszczony. Władek spojrzął na mnie chmurnie i burknął: „Zostaw to”, ale nie usłuchałem go. Musiałem się przekonać, czy Szkuta przypadkiem nie zrobił jakiegos świadstwa. Długo obracałem karabin w rękach. Wreszcie, gdy otworzyłem już usta do triumfalnego okrzyku, zauważyłem na żelaznym okuciu kolby małą plamkę rdzy. Niewielka była, ale była. Dobre oko ma ten psiajucha Szkuta. Wróciłem do namiotu.

pak, nie daj Boże, zdezerterował?” — przemknęło mi przez myśl.

— Bortkiewicza wezwał dowódca kompanii.

Do „koszar” wracałem niemal pewny, że zasnę Władka już z czerwoną gwiazdą na furazercie. Miał się zgłosić z raportem... Dowódca go wyzwał... Znalazłem go pochylonego nad stołkiem, na polu pod namiotami, siedział skupiony nad kartką białego papieru i rysował...

— Sluchaj, Janek—były pierwsze słowa, jakimi mnie przywitał — czym się różni orzeł piastowski od orla jagiellońskiego?

Byłem tak zaskoczony, że w pierwszej chwili zaniemówiłem. Spojrzałem mu prosto w oczy ale nie znalazłem w nich nic niepokojącego, raczej pelgały w nich iskierki, których dawniej nie dostrzegałem. Coś jakby nagle rozbudzona radość życia.

Okazało się, że dowódca kompanii polecił mi ozdobić wejście do miejsca postoju kompanii okazałym orłem, zwracając mu jednocześnie uwagę, że ma to być orzeł bez korony, piastowski. Dlaczego do roboty tej wybrał właśnie Władka? Po prostu dlatego, że w całej kompanii jeden Władek miał jakie takie zdolności plastyczne.

Nie wszystko jednak było takie proste, jakby się mogło wydawać. Władek miał wprawdzie zdolności plastyczne, ale kto wie, czy w życiu widział polskiego orla, a jeśli widział to tak dawno, że obraz jego musiał mu się całkiem zatrzeć w pamięci. Tymczasem ja, choć oczywiście z obrazem orla polskiego byłem oswojony, nie miałem żadnego wyczucia plastyki. Już nie mówiąc o tym, że o różnicy między orłem piastowskim, a jagiellońskim poza tym, że jeden z nich jest bez korony, miałem bardzo słabe pojęcie. A przecież poza koroną jest tyle rzeczy do rozstrzygnięcia. Pozostaje jeszcze sprawa rozpiętości skrzydeł i ustawienie głowy. A ogon? A tułów? Co za mnóstwo detali, w które człowiek nie wnikał, gdy wystając godzinami w różnych urzędach bezmyślnie obserwował z braku innego zajęcia herb państwowy.

Orzeł... Białe orzeł na czerwonym polu... To się łatwo mówi. Ale jak wykonać, żeby się inne kompanie nie śmiały? I to kto? Władek?

Władek patrzył pełen oczekiwań na mnie, a ja beznadziejnie na niego. Przez chwilę zdawało mi się, że dowódca kompanii zaczął robić orla, chyba tylko, żeby mnie ościsnąć dokuczyć. Namawiałem Władka, by wrócił do Polski, a nie potrafię pomóc w wykonaniu orla... Do czego to podobne?

Wiedziałem, że lada dzień mają z Moskwy nadejść orzelki do czapka. Ba, ale ten „ladadzień” mógł trwać tydzień, a mozaika była potrzebna już. Można było na dobrą sprawę pójść do sztabu po wzór. Ale do sztabu było daleko. Kilka kilometrów. I wstyd zwracać się do dowódcy po pozwolenie. Skłamać? Przypomniałem sobie, że gdzieś mam jakąś dwudziestogroszówkę ze znakiem orla. Prawda, że z koroną. Ale to się jakoś da zrobić. Byłem mied

odrobinę fantazji. A Władek ją miał. No i trochę intuicji. I tej mu nie brakło. I ostatecznie, ja też sroce spod ogona nie wypadłem. Daru plastycznego ani za grosz wprawdzie, ale za to aspiracje... Takśmy przesiadzieli całą niedzielę nad kartką papieru. Czułem się trochę jak przystawiony Marcin, ale nadrabiałem miną, ile się dało. Była w tym pięknym dniu jedna taka chwila, że zmęczonym głosem poradziłem Władkowi, by poszedł podpatrzeć, jak koledy z innych kompanii robią orla. Spójrzal na mnie takim wzrokiem, że zmieniłem temat, zacząłem się jakaś, nieczym żak przyłapanym na gorącym uczynku.

Już zapadał wieczór, a myśmy jeszcze siedzieli nad rysunkiem. Coś niby wychodziło, ale Władek wciąż był niezadowolony. Trzeba było w końcu przerwać pracę. Ułożyliśmy się do snu.

Nazajutrz wyszedłem wraz z całą kompanią na ćwiczenia. Władek pozostał w „koszarach” na wyraźne życzenie dowódcy. Wieczorem orzeł musiał być gotów.

Ćwiczenia były tego dnia wyjątkowo intensywne. Z cekaemami, erkaemami, z maską gazową na twarzy. Słońce, jak gdyby się zmówiło z „nepszyjacielem”, dopiekało uciążliwie. Prucem brakło pow.etrza. Pot lał się strugami po plecach, po twarzy. Żebyż to można było choć raz jeden zaciągnąć się papierosem. Ale był wyraźny zakaz. N.c dziwnego, że zapomniałem o Władku, o orle. Nie pamiętałem o nim nawet po powrocie na miejsce postoju kompanii. Ze zmęczenia nie zauważyłem jego nieobecności nawet podczas obiadu mimo, żeśmy obaj korzystali z jednej menażki. A po obiedzie wypełniłem wszystkie sześćdziesiąt minut przewidzianego regulaminem wypoczynku błogim snem.

Odszukałem go dopiero potem. Odnalazłem u „paradnego” wejścia do kompanii. W miejscu, gdzie wartownik odmierzał swój czas uroczystym krokiem tam i z powrotem. Siedział i grzebał się w piasku.

— Ty, Władek, obiad dziś jadłeś? — spytałem.

Puścił mimo uszu pytanie, chwycił mocno za ramię i przyciągając twarz do siebie zmusił, żebym patrzył tam, dokąd skierowane były jego oczy.

— I co?

Przedemną na piasku rozciął skrzydła piękny orzeł. Złoczyły się nań wszystkie wspanałości Sielc i okolicy. Cegła drobnutko potluczona, białe kamyczki wytoczone przez fale. Oki, biały piasek, nie wadomo gdzie zdobyty, kawałki fajansu spod kantyny oficerskiej, muszelki, i szybki, kawałki białej blachy i kory brzozywej. Można było emblematowi to i owo zarzucić. Tułów był może zbyt krepły, dziób trochę nadto drażniący. Jednego nie można mu było odmówić — życia. Ten orzeł żył. Nie chciało się wierzyć, że to jest ten sam orzeł, którego mizerny wzor widniał wczoraj na małej ćwiarteczce papieru.

— Kiedyś ty to zrobił?

Przemilczał pytanie.

— Jak myślisz, piórka ogona poprawić?

Teraz dopiero spostrzegłem, że piórka ogona są nieco zbyt postrzępione.

— Nie — powiedziałem — zostaw wszystko jak jest. Tu szczegóły nie są ważne... Tak, szczegóły nie są ważne...

Nie powiedziałem mu, co w tym orle jest najważniejsze. Że orzeł żyje. A nuż zachwyt mój jest poddyktowany wyłącznie przyjaźnią.

✱

I znowu potoczyło się normalne życie żołnierskie ze swymi radościami i kłopotami. Gdy się nam zdawało, żeśmy już osiągnęli pewne wyżyny, ukazywano nam przed oczyma nowe wierzchołki, na które należało się wspinać, muno otartych do bólu nóg i czoła złanego potem. Wszyscy starali się dotrzymać kroku, a najłatwiej szło to Władkowi. On, który z początku z takim wysiłkiem wykonywał najprostsze ćwiczenia, w mig opanowywał teraz najtrudniejsze i nawet zręczający jak zawsze Szkuta nie mógł mu nic zarzucić.

Pewnego dnia po pogadance oficer polityczny rozdzielił między nas kilka egzemplarzy ostatniego numeru „Nowych Widnokręgów”. Jeden dostał się mnie. Szybko uporałem się z czyszczeniem broni i usiadłem z Władkiem na skraju polany, pod cieniem sosny. Wyjąłem gazetę. Na pierwszej stronie — czołową była korespondencja z Sielc — widniał włamany w tekst orzeł z podpisem: „Najładniej wykonany w dywizji emblemat: Orzeł czwartej kompanii”.

Pokazałem gazetę Władkowi. Zamrugnął oczyma, zaczerwienił się po białka i zwrócił mi gazetę bez słów. Przyjrzałem się jeszcze raz rysunkowi.

— Mogliby przynajmniej napisać, kto to zrobił — powiedziałem.

— Czy to nie wszystko jedno, kto — mruknął Władek. — Mogli to zrobić każdy inny.

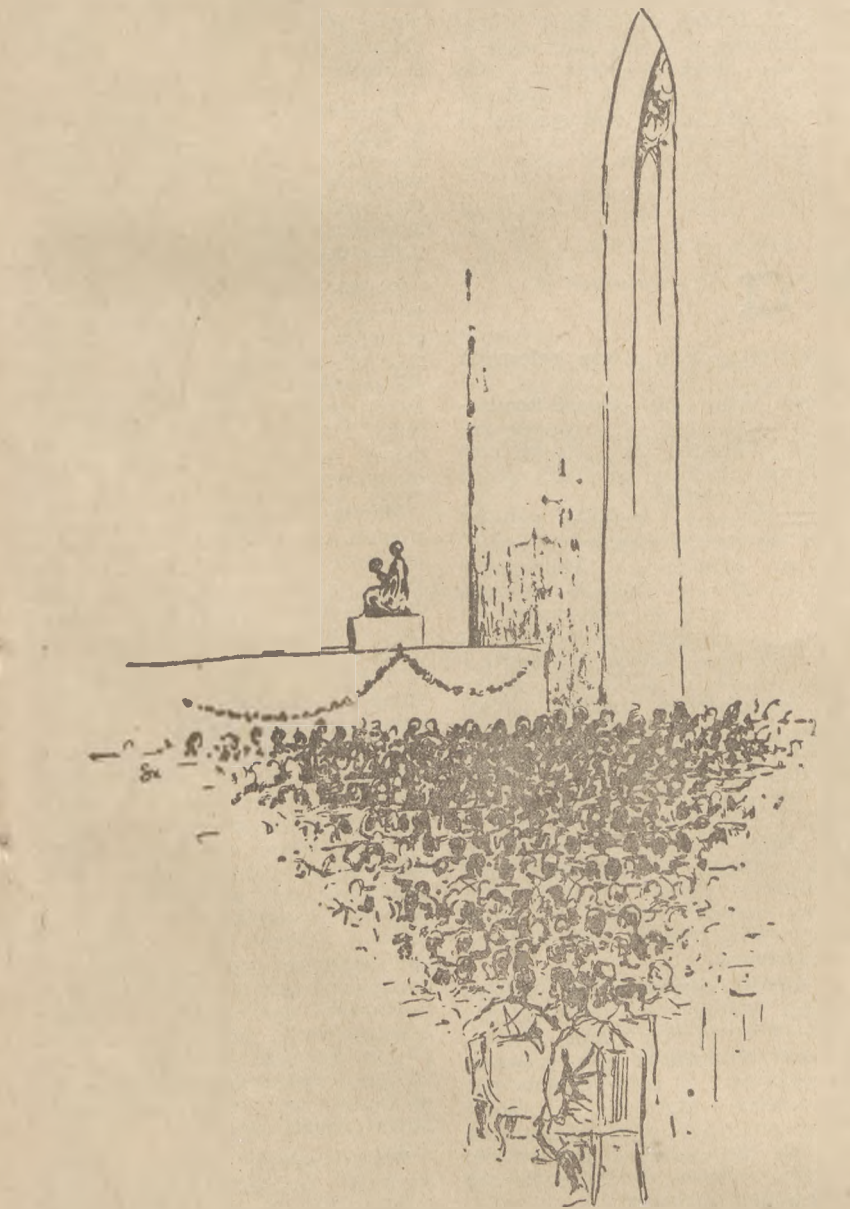
— Dla mnie nie jest bez znaczenia, że zrobił to „ruski” Polak, wnuk powstańca, syn rewolucjonisty.

Władek schylił głowę. Chwilę trwał w milczeniu.

— Może masz rację.

Leon Przemski

Z tomu opowiadań przygotowywanego przez Wyd. MON.



Rys. Szymon Kobyliński

niby medytuje, co miarę jednak królewskiej głowy przerasta. Wsparł król lewą rękę o krzyż prosto ciosany...

Niebieski zmrok zasnuwa kąty wapnem bielonej „kirchy”.

Gdzieś strzelista kolumna, gdzieś krzyż prosto ciosany? Toż to najwyzwyczajniejsza pepeska, ku górze wzniesiona. Zamiast pancerza spżowego, marszczy się drelch pospolity na zwykłej żołnierskiej postaci.

Czarownicy diabelskie. Możebyście już wreszcie przestali? W sali cisza, i nagle jak nie grzmotną o-

rze. W otwartej oborze melancholijnie porykuje krowa. Z trudem zwiżam machorkę w skrawek gazety. Palce drżą, rozspjuje się wszystko na trawę.

A dobrze ci tak — powiadam sobie surowo. — Sentymalna krowo.

No, to skojarzenie jest przynajmniej bezpośrednie i całkiem realne (bez fata morgany)...

Janina Broniewska

Z drugiego tomu „Notatnika korespondenta wojennego”, który ukaże się nakładem Wyd. MON.

STANISŁAW R. DOBROWOLSKI

Epos bitwy klasowej

P przed rokiem w czasie mego pobytu w Rumunii, zwiedziłem między innymi budowę Kanału Dunaj-Morze Czarne. Nigdy przecież nie miałem sposobności oglądać tego rodzaju i na tak wielką skalę zamierzonego technicznie przedsięwzięcia. Nic dziwnego więc, że gigantyczne prace przy tej największej spośród podjętych przez Rumuńską Republikę Ludową socjalistycznych budowli, bardzo silnie wywarły na mnie wrażenie — tak silne, że do dzisiaj noszę w oczach obraz rozżarzonej słoneczem, bezkresnej przestrzeni, wzbijanych przez ciągłą od morza wiatr tumanów pyłu, spalonych na brąz ludzi-budowniczych Kanału i owego kretowiska biegnącego przez pustynny obszar.

Nie dziw też, że gdy wpadła mi do rąk wydana w polskim przekładzie powieść rumuńskiego pisarza Petru Dumitriu „Droga bez kurzu”^(*), osnuta na tle dziejów budowy Kanału Dunaj-Morze Czarne, wziąłem się do jej czytania ze szczególnym zainteresowaniem.

Spełniał się tu niejako postulat Goethego:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

Książka Dumitriu już od jej pierwszych kartek malujących znany mi pejzaz Dobrudży stawała się bliska.

✱

Śmiała decyzja połączenia Dunaju z Morzem Czarnym tam, gdzie tworzy on na południu Rumunii wielką pętlę i w ten sposób nie tylko skrócenia drogi wodnej o 230 — 250 km ale i zarazem przeobrażenia jałowych, pustynnych i bagnistych terenów Dobrudży w kwitnącą, ludną krainę, podjęta została przez rumuńską władzę ludową w 1949 roku.

Dobrudża, o której tu mowa, była do niedawna jednym z najbardziej zaniedbanych pod względem cywilizacyjnym kątów Europy. Niezależnie jej ludność, dziesiątkowana przez głód i choroby, żyła pod rządem obszarników i kapitalistów w niesłychanie prymitywnych, trudnych po prostu do opisanego warunkach.

Dzięki przeprowadzeniu Kanału odwodnionych zostanie około 100 tys. ha bagien i równocześnie nawodnionych 120 tys. ha bezpłodnego dotychczas stepu, co w rezultacie przyniesie zasadniczą odmianę życia na tych obszarach.

Wizja tej odmiany musiała, oczywiście, porwać masę ludową Rumunii tak, jak porywa nasz naród budowa socjalistycznej Warszawy czy Nowej Huty.

Niezależnie od tych porywających perspektyw budowa Kanału już dziś, produkującą dziesiątki tysięcy ludzi, zmienia ich sytuację społeczną i przeobraża świadomość, przekształca psychikę.

Sprawa budowy Kanału Dunaj-Morze Czarne stała się więc ze zrozumiałych zupełnie powodów dla narodu rumuńskiego jednym z centralnych zagadnień socjalistycznej przebudowy jego życia. Zrozumiałe też, że w tych okolicznościach na terenie budowy Kanału musiała rozgrywać się jedna z głównych batalii toczącej się w nowej Rumunii nieublaganej walce klasowej.

Obraz tej walki o realizację sztandarowego dzieła socjalistycznego budownictwa w Rumuńskiej Republice Ludowej — to wielka epopea rumuńskiej klasy robotniczej, rumuńskiego ludu. O ukazanie tego obrazu w dziele powieściowym, o stworzenie eposu tej wielkiej bitwy klasowej pokusił się młody pisarz rumuński Petru Dumitriu w książce „Droga bez kurzu”.

✱

„Droga bez kurzu” jest rezultatem niemałej twórczej ambicji. Jej autor, przystępując do realizacji swego pisarskiego zamierzenia, jako słusne założenie przyjął, że dzieje budowy Kanału Dunaj-Morze Czarne to nie dzieje wielkiego technicznego przedsięwzięcia, ale jak w ogromnej soczewce zestrzelony obraz dziejów wielkiej przemiany w życiu rumuńskiego narodu.

Dlatego, choć Dumitriu zna dobrze realia techniczne budowy Kanału i tam, gdzie to potrzebne dla rozwoju akcji, nie gardzi opisem procesów technicznych — nie one przecież stanowią istotną treść dzieła. Książka Dumitriu nie należy do ograniczonego, jeśli idzie o walory poznawcze i artystyczne oraz niepełnego psychologicznego gatunku „powieści produkcyjnej”.

„Droga bez kurzu” — to książka o człowieku w dzisiejszej Rumunii i o przemianach, jakie się w nim dokonują na tle przemian zachodzących w życiu zbiorowości, w życiu narodu. Autor powieści wie o tym, że dzieje zbiorowości ludzkiej to dzieje toczącej się w jej tonie walki klasowej. Toteż ukazuje on nam ludzi i dokonujące się w nich przeobrażenia w toku tej walki, w toku czynnego ich udziału w tej walce tam, gdzie ona przybierała charakter najostrejszy.

Wybór dziejów budowy Kanału Dunaj-Morze Czarne jako tematu epopei o dzisiejszym życiu narodu rumuńskiego był z wielu względów szczęśliwy i świadczy o trafnym instynkcie artystycznym młodego epika. Wybór ten pozwolił mu przede wszystkim na ukazanie dość rozległego tła wydarzeń i równie szerokiego przekroju środowiska społecznego — głębokiego przekroju podziału klasowego współczesnej, budującej podstawy socjalizmu Rumu-

ni. Fakt ten nadaje powieści należytą rozmach epicki, wyposaża ją w ogromne bogactwo postaci o bardzo zróżnicowanych cechach zarówno indywidualnych jak i wynikających z ich przynależności klasowej.

Dumitriu wprowadził do akcji swojej powieści jako pracowników przy budowie Kanału — zgodnie z prawdą historyczną — robotników i chłopów, zarówno biedotę wiejską jak i kulaków, inteligencję zawodową oraz przedstawicieli zdlawionej przez rewolucję burżuazji. Wielka liczba postaci, jakie w powieści nam pokazał, pozwoliła na rysowanie wszelkiego rodzaju odmian postaw w toczącej się walce. Ostry charakter walki, jaki ona przybrała już w pierwszej fazie budowy Kanału, pozwolił z kolei na dokładne uwypuklenie rysów postaci bez potrzeby ich przekształcania. Stąd duża siła przekonywająca każdego niemal, nawet bardzo wyrazistego rysunku.

Szczególną zaletą w malowaniu osób działających przez powieściopisarza jest unikanie bezpośredniej charakterystyki. Dumitriu wprowadza główne postaci do akcji dając przed podjęciem głównego wątku, wiele wątków wstępnych, pozwalających nam bliżej zaznać się z biografiami tych postaci. I właśnie w ten dydaktyczny niejako sposób rysuje ich początkową charakterystykę.

Prawda, że tego rodzaju metoda wyklucza efektywne niespodzianki w toku głównej akcji powieściowej, noszącej niemal kryminalny charakter, nosi ona jednak cechy dużej epickiej rzetelności i stanowi poważną motywację dla późniejszego postępowania bohaterów powieściowych, procesy zachodzących w nich przeobrażeń rozkłada w szerszych granicach czasu. Wreszcie, co nie jest sprawą najblizszą w dużym dziele epickim, przedstawia bardziej rozległy w czasie i nie tylko w czasie obraz życia narodu.

Główna akcja powieści Dumitriu to dzieje walki o realizację planu budowy Kanału i równoległe do tego dzieje dywersyjnej działalności wroga klasowego, który wykorzystując niski stan świadomości zatrudnionych na budowie robotników, uwil sobie wygodne z początku gniazdo w kierowniczym ośrodku budowy. Rozwielmożnienie się sabotażystów na budowie stało się możliwe w pierwszej fazie prac w wyniku rozlicznych okoliczności, które Dumitriu potrafił ukazać z wielkim realizmem.

Ciężkie, surowe warunki życia i pracy na Kanale, brak wiary w możliwość realizacji przedsięwzięcia wśród ideowo chwiejnego personelu technicznego zatrudnionego przy budowie, zarażającego swoją niewiarą kolektyw robotniczy, chaos spowodowany brakiem wykwalifikowanych sił roboczych oraz oddanych sprawie pracowników administracyjnych — oto niektóre z wielu przyczyn, dla których udaje się długo bezcelnym dywersantom szkodzić postępowi prac.

Toczącej się walce z wrogiem klasowym przewodzi Partia. Nieokreśla wszakże i słaba liczebna organizacja partyjna, która wpraw-

dzie ratuje niejednokrotnie sytuację przed groźniejszymi katastrofami, nie umie jednak początkowo skutecznie przeciwstawić się swoim wpływem wrogiej robocie, zdemaskować ją w porę i zlikwidować. Wioskie wszakże walory ideowe i moralne niezlicznej grupy członków Partii i jej sympatyków, wytrwała praca wewnątrzpartyjna i wywieranie na otoczenie wpływu grupy partyjnej sprawiają, że w toku walki i pracy powoli z bezkształtnej masy, jaką stanowią w pierwszym okresie przybywający do robót przy Kanale, wytypują się jak w wielkim tyglu coraz to bardziej uświadomiony kolektyw. Wielkie dzieło porywa jego twórców, krzepnie jednostka moralna zespołu, stwarzając przesłanki trudnego zwycięstwa. Proces tej przemiany dokonuje się z wielkim wysiłkiem, wśród tysięcy przeciwności, niezmiennie sugestywnie ukazanych przez Dumitriu. Sugestywność ta powoduje, że czytelnik „Drogi bez kurzu” głęboko angażuje się emocjonalnie w toczącej się walce. I ten fakt decyduje przede wszystkim o ideowo-wychowawczym walorze dzieła rumuńskiego pisarza. Czytelnik wierzy twórcy powieści, przejmując się losami sprawy. W jego sercu budzi się coraz to rosnąca sympatia dla pozytywnych bohaterów utworu i coraz większa nienawiść do wrogów socjalizmu.

Czemu zawdzięcza ten sukces autorski Petru Dumitriu?

Zawdzięcza go dużej znajomości człowieka i umiejętności realistycznego ukazania jego ludzkich przeżyć, jego siły i słabości, jego bogactw psychiki.

Ciekawe wszakże, że o wiele bardziej interesująco i przekonująco wypadają u Dumitriu postaci pozytywne, wyposażone na ogół w większe bogactwo i wielostronność cech charakteru, jak Maftę, sekretarz organizacji partyjnej, czy Pangrati, który przebywa długą i trudną drogą ideowego wznowienia się. Widać, że tego rodzaju ludzie są lepiej znani autorowi powieści od zdecydowanych zwłaszcza wrogów, których Dumitriu maluje nieco zbyt jednostronnie w czarnych kolorach.

Takie postawienie kwestii uprawnia do nieco rzeczą i zbyt łatwo przesądza o przyszłym zwycięstwie budowniczych Kanału.

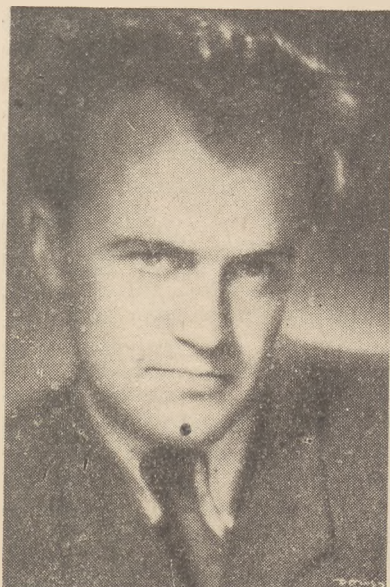
Właściwa natomiast walka klasowa rozgrywa się nie w kategoriach kryminalistycznych, lecz przede wszystkim w świadomości zróżnicowanego ideowo-społecznie zespołu budowniczych Kanału. A tę walkę — jak choćby na przykładzie inżyniera Pangratego — potrafił Dumitriu ukazać z dość dużą finezją.

Polski czytelnik odnajdzie w przeżyciach bohaterów „Drogi bez kurzu” niemało ze spraw, które go głęboko nurtują. Spostrzeże on, że walka, którą sam toczy, jest fragmentem wielkiej batalii, która rozgrywa się wszędzie, gdziekolwiek człowiek zerwał kajdany klasowej uciśku — i że wszędzie ona ma ten sam bohaterów przebieg.

„Droga bez kurzu” — epos bitwy klasowej narodu rumuńskiego pogłębi w nim poczucie międzynarodowej więzi bojowników o socjalizm i pokój. Stanisław R. Dobrowolski

ANNA BUKOWSKA

Z bocznego na główny tor



Roman Bratny

Jeśli wspominam tu „Ślad” — (pierwszy zbiór nowel Bratnego wydany w 1946 r.) — robię to wyłącznie w tym celu, aby wyznaczyć jakiś początek skomplikowanej, wijącej się drogi pisarstwa Romana Bratnego. „Ślad” znalazł się wśród tych książek, które omawiał T. Drewnowski w artykule pod wymownym tytułem „Na bocznym torze” („Wiś” 1947 r.). Są to nowele obarczone dużym balastem ekspresjonizmu, pod którym kryło się zbłąkanie ideowe autora. Pokazują one tragizm walki i śmierci ludzi akowskiego podziemia, przeżywa obozowe — wszystko zaprawione gorzkim pesymizmem. Po wydaniu tego tomu, Bratny jako prozaik milknął na długo, natomiast publikuje szereg tomików poetyckich, które stają się wyrazem jego światopoglądowej i artystycznej ewolucji. Ideologiczny ferment treści i formy przebiegał w poezji Bratnego bardzo burzliwie. W pogoni za nową formą poeta gubił się w stylach różnych szkół burżuazyjnej estetyki, będących w zasadniczej sprzeczności z krystalizującą się treścią polityczną wierszy. W swych żywiołowych poszukiwaniach przechodził często z jednej skrajności na drugą, dalej niż inni zapędzał się w ślepe zaułki i manowce poetyckich form. W artykule pt. „Jaka poezja?” („N.K.” 1950, nr 21) Bratny zdobywa się na krytyczną analizę tego okresu swej twórczości. Jeszcze w 1951 r. wychodził jego zbiorek pt. „Człowieku, żyć będziesz!” — o aktualnej tematyce spraw i przeżyć z dużą wymową polityczną — i Bratny zostaje się z poezją.

Myszę, że słuszną była jego decyzja przejścia i skoncentrowania się na prozie i dramacie.

Obecnie mamy przed sobą zbiór opowiadań Bratnego^(*), z którego widać jak wielkim przewartością

^(*) Roman Bratny *Ile serce wytrzyma*, „Czytelnik” 1953 r.

waniem musiał poddać autor swoją dotychczasową pracę twórczą, jak duży zrobił krok, by znaleźć się na głównym torze literackim naszego czasu. Nie znaczy to, by Bratny wyzbył się wszystkich dawnych cech swej twórczości — niektóre przetrwały choć w znacznie zlagodzonej formie, inne przeszły z in minus na in plus i stanowią dziś dodatnią stronę jego prozy. Ale o tym za chwilę.

Opowiadania Bratnego posiadają duże zaplecze w publicystyce i reportażach jej autora, w jego doświadczeniach terenowych, zawierają uogólnienie wielu obserwowanych bezpośrednio zjawisk społecznych. Bohaterami książki są ludzie, którzy w codziennym trudzie torują drogę przemianom społecznym i gospodarczym naszego kraju. Pięknym rysom ludzkim dał wyraz autor w postaciach działaczy wiejskich — Skrzypki lub byłego fernala, a dziś kierownika PGR — Zimnoch, czy przewodniczącego spółdzielni produkcyjnej — Tuksa. Wszystkie postacie opowiadań poznajemy w świetle opisywanych wydarzeń, w świetle ich osobistych przeżyć, w których dojrzewali i krzepili. Główną sprawą, o którą walczą książka, jest spółdzielczość produkcyjna. Autor przedstawia zarówno różne etapy jej rozwoju, jak różnorodne konflikty, które wokół niej powstają, o ostrości i napięciu zależnym od warunków obozów środowiska. Nie brak tu również spraw osobistych, dramatów, które bądź zarysowywały się na ogólnym tle opowiadań, bądź wyrastają z podłoża akcji i stają się wyrazem istniejącego na szerszą skalę zjawiska.

Książka ma jakiś rozmach przyszłości, atmosferę dobrego optymizmu. Swą bezpośredniością, ciepłym zabarwieniem emocjonalnym odbija od wielu innych nieco stywnych i surowych pozycji literackich ostatniego okresu. Bratny potrafił wycienić, i wydobyć z tematu wiele tych subtelnych bardzo momentów, których wyrazem stają się jakieś odruchy, słowa, czy skojarzenia myśli, pokazać te przebiegi piękna, które nagle i przelotnie spostrzegamy w ludziach, w sytuacjach, w krajobrazie. Jest to zasługa dużej wrażliwości pisarza, jego żywego stosunku do tematu, do ludzi o których pisze — serdecznego wyrozumiałego, czasem gniewnego i pogardliwego.

Zdolność przedstawienia różnych spraw od strony działającego człowieka, motywacji myślowej i psychologicznej jego postępnego i reakcji, jak również zdolność pokazania rzeczy wielkich przez pryzmat faktów o małym wymiarze, lecz trafiających bezpośrednio w zainteresowania przeciętnego człowieka — przechwycił Bratny ze swojej dawnej twórczości, przystosowując ją jednak do nowego charakteru prozy. To dobrze. Niepokoje natomiast fakt, że Bratny nie nabył dotąd umiejętności, o której sam pisał w artykule „Jaka poezja?” — „Nie umiałem dyscyplinować wyobraźni...” — Oczywiście dziś sprawa ta

nie jest ani rażąca, ani dezorganizująca tekst pisarski, niemniej istnieją i to stanowi główny zarzut w stosunku do omawianej książki.

Autor chce dużo czytelnikowi powiedzieć. Odnosi się wrażenie, że pragnie przekazać mu wszystko co nagromadził w związku z danym tematem. Stąd w wielu miejscach brak selekcji, zagadnienia gnatają się ze sobą, zatracają hierarchię ważności. To cechuje, wyjąwszy opowiadanie „Biała noc”, wszystkie pozostałe, zawarte w tomiku „Ile serce wytrzyma”. Na przykład problematyka w „Siódmym krzyżku młodości” wygląda w formie opowiadaniowej jak drebblas w wyrośniętym ubraniu. Szwy aż trzeszczą, tyle tam wątków, akcji, bohaterów i oddechu dużej formy literackiej. A materiał jest bardzo ciekawy, zawiera w sobie wiele konfliktów społecznych i osobistych, momenty dramatyczne, pewną sensacyjność. Jego bohaterzy to ludzie, których dobrze rozumiemy, czujemy, których znamy z własnych doświadczeń. Ale w tej wielowątkowości czytelnik się gubi — chwilami wydaje mu się rzeczą centralną wykrycie sprawców morderstwa, to znów postawa i praca Zimnoch (sugestia tytułu), lub też sytuacja i nastroje we wsi — wśród wielu innych spraw. Widać, że autorowi pewne wątki rozrastają się ponad proporcje, które powinien zachować dla jasności treści, a elementy drugorzędne zaczynają przesłaniać pierwotną koncepcję utworu.

Drugą ujemną stroną książki Bratnego stanowi przesadna skłonność do tworzenia przypadkowych, nietypowych zbiegów okoliczności dla wywołania typowego, zgodnego z linią rozwoju zjawiska. Przykładem tego może być zebranie założeńczyśkie spółdzielni w opowiadaniu „Będą do nas sami szli”, gdzie przełom w nastawieniu chłopów

sprawa fakt, że w przybyłym na zebranie aktywiście ktoś z obecnych rozpoznał człowieka, który parę lat temu, w pobliskim miasteczku został schwytany przez bandę i skatowany za to, że miał przy sobie partyjną legitymację i propagandowe broszury. Traf chciał, że właśnie ten Skrzypka znalazł się we wsi, która te wydarzenia pamiętała, że wobec tego miał tu wyjątkową pozycję, specjalny kredyt zaufania u ludzi, że przypomnienie tamtych czasów stwarzało pewną sprzyjającą atmosferę. Ale jaki obrót przyjąłaby sprawa w innych okolicznościach? Podobne zastrzeżenia można by mieć do „Białej nocy” i naglej przemiany Lisa.

Konieczność realizuje się w przypadkach, ale muszą one być głęboko uzasadnione i potrzebne w danej sytuacji. Rozwiązywanie zagadnień przez żywiołowe montowanie sytuacji, na „ślepy los” zamiast pokazania normalnej, najbardziej typowej dla danych zjawisk drogi, stanowi pewną łatwiznę, rezygnację z większych ambicji pisarskich.

Podobnie — realizowane zresztą z dużą zręcznością — pomysły takie jak historia z dolarami w opowiadaniu „Będą do nas sami szli”, czy sprawa podków w „Siódmym krzyżku młodości” — wypadają w prozie dosyć tandetnie.

Pewne cechy prozy Bratnego — jak np. żywioł i dramatyzm akcji, zgęszczenie konfliktów, napięcie sytuacji, efektowne pointy, wyraziste postacie — dają duże możliwości do wykorzystania ich w dramaturgii i filmie. Zresztą w tej dziedzinie posiada już Bratny pewne osiągnięcia.

Mówiąc o stronie formalnej opowiadań, chcę zwrócić uwagę na pierwsze z nich pt. „Będą do nas sami szli”. Jest ono ujęte w kilka członów narracji z krótkimi wstawkami autora. Wygląda to jak podział na kwestie, które wypowiadają kolejno — bohater, obserwator i autor. Kompozycja ta niczym nie wzbogaca wartości poznawczych ani stylu opowiadania. Cały czas mamy jednolity sposób widzenia i komentowania wydarzeń, jednolity styl i język, podczas gdy tego rodzaju układ wymaga odrębności relacji poszczególnych ludzi. W tym wypadku nie jest to zresztą potrzebne, stwarza jedynie wrażenie reportażowej prawdy faktów. W innych opowiadaniach mamy układ sceniczny, zmieniający się odpowiednio do wydarzeń i ilości wątków. Najlepiej skomponowana jest „Biała noc” — najklarowniejsza treściowo, posiada zwartą konstrukcję opowiadaniową, nieszącą się nawet w klasycznych „trzech jednoscianach”.

Bratny potrafił bardzo konsekwentnie i zreźnie budować utwór i jeżeli jego opowiadania są powikłane, męczące, to przyczyna tego tkwi w braku umiaru przy doborze materiału pisarskiego.

Język tych opowiadań jest prosty, barwny, dostosowany do środowiska, swobodny i świeży, dobrze uplastycznia treść książki.

W sumie „Ile serce wytrzyma” jest ciekawą pozycją zdolnego pisarza, pokazuje wiele istotnych zjawisk społecznych, które towarzyszą przemianom zachodzącym w naszym kraju, potrafił dobrze oddać treść ludzkich dążeń i przeżyć, odnaleźć piękno w codziennym trudzie naszych czasów.

Leon Bukowiecki

Anna Bukowska

LEON BUKOWIECKI

Pionierska książka

Poza — w takich wypadkach zawsze wymienianą „X Muza” — literatury filmowej przed wojną w Polsce nie istniała, o specjalnej Filmowej Agencji Wydawniczej nie było w tym czasie, a ponadto nie było wtedy dostatecznej ilości ludzi z należytym wykształceniem, aby podjąć próbę wydania tego typu książki o charakterze naukowym.

Tom „Powieść na ekranie”^(*) jest pierwszą pracą z zakresu „Studiów o adaptacji filmowej”. Debiut ten nie jest pozbawiony usterek, ale śmiało twierdzić można, że w całości dzieło zaspokaja oczekiwania i jest cennym wkładem do nauki o adaptacji filmowej.

W zbiorze znajdujemy dziełach prac o ekranizacji jedenastu filmów i „wstęp do zagadnienia ekranizacji utworów powieściowych” pióra Jerzego Toeplitza. Bez tego wstępu książka nie spełniłaby swego zadania. Obserwne historyczne podbudowanie zagadnienia ekranizacji, podanie sposobów ekranizacji i źródeł natchnień scenarzystów i realizatorów (niezależnie „natchnień” merkantylnych) stanowi nadzwyczaj cenny wkład do całości książki i w pewnej mierze wytycza jej cele i koncepcje. Żałować tylko należy, że Jerzy Toeplitz, opracowawszy z wielką skrupulatnością pierwsze adaptacje oraz mniej więcej okres kinematografii niemieckiej jak i początkowe fazy filmu dźwiękowego, nie doprowadził rysu historycznego adaptacji filmowych do końca.

Zastanówmy się teraz nad wyborem filmów, których strona adaptacyjna została omówiona. Jest ich 11 — w tym 5 radzieckich, 3 francuskie, 1 angielski, 1 niemiecki (NRD) i 1 polski. Ostatnia pozycja nie budzi zastrzeżeń, gdyż — jak dotychczas — jest pozycją jedyną a pierwsza także nie. Radziecka kinematografia służy nam wzor-

rem i im więcej dowiemy się o niej — tym lepiej. Natomiast „przydział” dla Francji, Anglii, NRD i brak „przydziału” dla innych krajów wydaje się raczej przypadkowy (brak nam zwłaszcza Czechosłowacji — mam na myśli „Syrène” i — z pewnością zastrzeżeniemi — „Krankati”).

Tom otwiera studium redaktora całości Aleksandra Jackiewicza pt. „Powieść i film o Czapaiewie”. Klasyczne dzieło literatury i filmu radzieckiego słusznie jest pozycją czołową. Zebrany przez autora materiał i sposób jego podania nie budzą żadnych zastrzeżeń. Bardzo płynny wykład i znakomicie zestawiona argumentacja czynią z tej pracy wzór rozbioru adaptacji filmowej.

Te samą sumienną badacza odnajdujemy w drugiej pracy Jackiewicza pt. „Klasyka na ekranie”. Mowa w niej o dwu filmach francuskich Christian Jaque’a („Baryleczka” i „Pustelnia Parmeńska”) oraz o filmie angielskim Davida Leana „Wielkie Nadzieje”. Jackiewicz godzi się z decyzją scenarzystów „Baryleczki”, którzy połączyli w jedną — dwie nowe Maupassanta „Baryleczka” i „Mademoiselle Fifi”. Analizując pierwszą nowelę twierdzi, że osoby zostały prawidłowo ukazane i doskonale zagrane, uważa natomiast część „Mademoiselle Fifi” za słabszą aktorsko i chwilami nieporadną. (Scena napadu Niemców na dyliżans i niemrawe obrony przez partyzantów). O ile z niedostatkami aktorskimi kobiet w scenie piąckiej na zamku zgodzić się możemy, o tyle interpretacja oficerów pruskich wydaje mi się znakomitą (ileż mamy fotografii i fragmentów kronik filmowych z tego okresu!) — a Louis Salou — wbrew twierdzeniom autora — jest chyba arcytypem prusaczyńskiego wojskowego, czy zgodnym z zamierzeniami Maupassanta — to inna sprawa.

Najwięcej zastrzeżeń wysunął Jackiewicz w stosunku do adaptacji „Pustelni Parmeńskiej”, służącej podkreśleniu zubożenia postaci Fabrycego przez obciążenie legendy

napoleońskiej. Autor natomiast nie zakwestionował opuszczenia przez scenarzystów tragicznej wizji bitwy pod Waterloo, co nastąpiło prawdopodobnie z powodów „patriotycznych” (w cudzysłowie) jak i finansowych (bez cudzysłowu). Słusznie też podkreśla autor zubożenie postaci Moskii oraz nieporadność scenariusza w zakończeniu filmu, nieporadność przeniesioną zresztą z... powieści. Natomiast nie razi autora przedziwna scena tańca księżdz Fabrycego z Sanseweriną, scena, której sam Stendhal wyparłby się z pewnością energicznie.

Władysław Marko w sposób bardzo interesujący wykazał, że zasadnicze różnice między tekstem powieści Aleksieja Tołstoja a filmem „Piotr Pierwszy” nie wpłynęły na wypaczenie postawionej przez autora postaci.

Niestety następne studium pióra Mirosława Bartosza budzi zastrzeżenia. Kiedy Doński przystępował do ekranizacji życia Pawła Korcażnika według znakomitej książki Mikołaja Ostrowskiego, hitlerowcy niszczyli żywe ziemie Ukrainy. Ekranizacja (i to niezwykle dynamiczna) tego dzieła była więc na czasie, ale pociągnęła za sobą znaczne (i słuszne) zmiany. Przedstawiona w książce interwencja panów polskich i band Machno zmieniła się na interwencję Niemców. Stąd je dno o wspomnienie o majorze Korfię rozrosło się na ekranie w rozwinięty wątek. O tym nie czytamy w pracy Bartosza ani słowa; jest to niewątpliwie błąd, niedostatecznie wyczuł się w tekst powieści i — przez to — niedostateczna analiza słusznych zmian scenarzystów.

Bardzo pouczające są oba studia poświęcone ekranizacji współczesnych powieści radzieckich: „Kawaler Złotej Gwiazdy” (Czesław Petelski) i „Opowieść o prawdziwym człowieku” (Stanisław Lenartowicz). Obie pozycje uświadamiają nam proces adaptacyjny stosowany w Związku Radzieckim a zmierzający do pogłębienia wymowy ideologicznej dzieła m i m o wie-

lu koniecznych i nieraz bolesnych cięć.

Nowe ustawienie postaci komisarza w „Opowieści” i skrócenie perypetii miłosnych w „Kawalerze” wskazują na linię, po jakiej poszli autorzy adaptacji.

Ewa Petelska i Czesław Petelski zajęli się bardzo ciekawym zagadnieniem ekranizacji „Podanego” Henryka Manna. Słusznie twierdzą autorzy krytyki, że scenariusz w właściwy sposób skondensował akcję drugiej — nieco rozwlekłej — części powieści. Natomiast przeoczyli metamorfozę asesora Jadasohna (w filmie asesora Mennika), któremu autor nadał cechy semickie, utrudniając mu w antysemickim światku karierę. Zmiana nazwiska i zmiana wyglądu tej postaci w filmie świadczy o chęci — zapewne słusznej — uniknięcia tych akcentów na ekranie. W pracy krytycznej należało jednak tę drogę scenarzystów wykryć i do niej się ustosunkować.

Ciekawe i sumienne jest studium Jerzego Beredy o powieści „Na przykład Plewa” i filmie „Pierwsze dni”. Sprawa ta była tylokrótnie omawiana, że autor miał w dużym stopniu ułatwione zadanie i bogatszy niż w innych wypadkach materiał. Zbieżności i rozbieżności powieści i filmu zostały wykazane w sposób przejrzysty.

Praca Stanisława Kokesza na temat „Skandalu w Clochemerle” budzi największe zastrzeżenia. Autor krytyki wyrażając się nie bez słuszności w superlatywach o transpozycji filmowej „Clochemerle”, nie dość głęboko i wnikliwie postawił nieość artystyczną i literacką samego dzieła. Przez takie postawienie sprawy dochodzi do nie zamierzonego paradoksu, że wśród innych omówionych filmów „Clochemerle” zajmuje pierwsze miejsce.

W tym upatrywałbym jedynie poważniejsze niedociągnięcia, że wszec miar interesującego i nowatorskiego dzieła.

No patrz pan, panie Gałazka, Bona znówu szura.
— Jaka bona?
— Jak to jaka? Nie wiesz pan? Królowa Bona!
— Nieboszczka?
— Rzecz jasna.
— Jak nieboszczka może szurać? Do kogo ta mowa?
— Nie osobiście, przez makaroniarzy szura.
— Nie rozumie.
— Zaraz pan zrozumiesz. Słyszałeś pan zapewne o tem, że ta owa Bona nie cieszy się u nasz opinią?

— Za kogo mnie pan bierzesz — synowe otrula.
— Właśnie, arsenikiem na szczyry, bo jej się nie spodobało, że syn się z szemraną wdówką, przystojniaczką niejaką Radziwiłłówną zdomu, ożenił. Niezależnie nareszcie w nocy Wawel okradła do suchej nitki i nazad do Rzymu, skąd przedtem była, za lewem paszportem nawiała. Próbowali potem Polacy rzeczy i pościeli odebrać, do sądu podali Mussoliniego, ale adwokaci tak całe sprawę zaszczykali, że Mussolini wyparł się w żywy kamień i — kamfora. Tak nasz historia starożytna poucza?

— Kropka w kropkie.
— No i widzisz pan, zaczynają jej teraz alibi wyrybiać.
— W jaki sposób?

— Posłuchaj pan. Pare tygodni temu w tył, posłem do teatru na Oboźna, na sztukię pod tytułem „Polacy nie giesi!”, dziwiła mnie nawet ta nazwa, bo wiadomo, że jak ludzie to nie drób, i o czym tu sztuki przedstawiać. Logiki w tem za grosz nie ma. Ale dla różnicy poszło się. I wiesz pan co, żadnych giesi nie było, tylko Bona tam i nazad po scenie się kłębiła w charakterze ministra Kultury i Sztuki.

Jeden otyły facet, stale zamieszkały na prowincji, z fachu zdaje się rejent, kłótni do wiersza miał zwyczaj przemawiać, założył pierwszy u nasz chór „Mazowsze”.

Miał z tem dużo trudności, bo biurokracja niemożliwie mu podgrymaszała, nie to co dzisiaj, gdzie takie same „Mazowsze” do Chin sobie na wycieczki wyjeżdża.

Zgniewał się koniec końcem, zapakował te swoje „Mazowsze” na furmanki i jechał do królowej rządowe pokazówki uskutecznił.

Bona posłuchała, popatrzała i mówi: „Owszem, obłeci!” i kazała upaństwowić cały chór.

W ogóle w niemożliwy sposób kulture i sztuce popiera i bez cały czas martwi się o te nasze Polskie kochane, żeby sprawiedliwość była i silna władza, o mały figiel spółdzielni produkcyjnych nie zakłada.

A o Radziwiłłównie i arseniku ani dudu. Byłem troszkę nawet ciekawy na tych artystów, że nasz tak w bajer biera na konto Bony. Ale myślenie sobie — włoszczyznie nam przywiezła, rosół przyzwoity przez nią mamy, faszerowaną włoską kapustę, bukiet z jarzyn — pies z nią tańcował, niech będzie, że nie otrula, zwłaszcza poniekąd, że z narodu sympatycznego, którego Kopernika nam szanuje.

I zapominałem, uważasz pan, o wszystkim. Aż tu dwa dni temu nazad znówu dostaje bileta do teatru, ale „Narodowego”. Sztuka pod tytułem takim więcej finansowem „Rzeczpospolita zapłaci”. Ide. I uważasz pan znówu Bona na scenie, ale ta razą jest i Radziwiłłówna. No, myślę sobie: teraz już cie siostrę przytracę, arsenik na wierzch wyjdzie jak złoto.

— I wyszedł?
— Gdzie tam, znówu zatrajlował. O wszystkim się tam mówi, tylko nie o tem. A zaczyna się, uważasz mnie pan, od pogrzebu meża Bony, Zygmonta Starego. Przed samem wyprowadzeniem tatusia przyjeżdża Zygmont August w charakterze sierotki. Sierotka co prawda z dużym rudem bokobrodem a la gienierał Kuropatkin, dwa metry wzrostu będą obcasów. Przyjeżdża objąć po ojcu interes i od razu zaczyna się nieporozumienie rodzinne na tle małżeństwa.

Facet na takiej posadzie w kraju rolniczym, ma niemożliwe wzięcie — król francuski chciałby swoje córki z niego wydać, austriacy jakby tyż mają jakąś zdziwe z cesarskiej rodziny, którą by mu chcieli wtrącić.

Bona była za paryżanką, różne ministrowie wzięli zdaje się forse od Franca Józefa, i na siłę szkopówne z Wiednia Zygmontowi wmawiają na żonę.

A on nie tylko na tron, który Bona w dolnym kościele dla siebie postawić kazała, się lada i takie mowe do nich zakłada:
— Na co ten szum? Co wy jak pragne zdrowia, do mamra za wielkość siebie chcecie mnie wpakować, czy jak? Żonatego mężczyźni swatacie? Przecież ja dawno jestem po ślubie z Basią i ona będzie za królową”.

Ministrowie zgorzeli coś nie coś, ale mówią:

— To to tak, proszę króla? Wiedzieliśmy o tej wdowie, ale byliśmy pewnie, że król na kocie łapie, czyli bez ślubu z nią żyje. Faktycznie warta grzechu, ale czy tak, czy siak za królową u nasz nie będzie?”

Bona jeszcze z większym pyskiem wyskoczyła do syna, posunęła się do tego stopnia, że Radziwiłłównę publicznie słowem nazwała.

— Na scenie?
— Na scenie, skarż mnie Bóg!
— No i co milicja protokołu nie zestawiała?

WIECH



KRÓLOWA BONA PŁOTKUJE

Rys. Maja Berezowska

— Nie, starszy przodownik koło mnie siedział i nawet okiem nie mrugnął.

— A Zygmont August co na to?
— Obsztorcował mamusię na czem świat stoi, ministrów powyganiał z dolnego kościoła i sam na pogrzeb się udał. A my na papierosa.

W drugim akcie Bona dopiero rozrabia na całego, po mieście Piotrkowie gania z ozorem i antypaństwowe płotki szerzy, że Radziwiłłówna, skutkiem trybu życia, na tak zwaną niedyskretną chorobę cierpi! To znówu chłupogów napuszcza, żeby kamienie w gazetę zawinięte bez okno synowej wrzucali. Brukowiec jak koci lew z takim hałasem przez scenę przelata, że „publika w pierwszym rzędzie aż głowy przychyła”.

Faktycznie, w miejscu rozrywki lew mieć kamieniem przecięty dlatego, że się teściowa z synową sprzecza, to żadna przyjemność i po mojemu takie rzućcie powinno być surowo wzbronione.

To znówu się z panem szanownem nie zgodzę. Teatr musi przede wszystkim nam pokazywać i o wiele nawet ktoś za ofiarę na ołtarzu sztuki się zostanie, pretensji wnoszą nie może. Zresztą dyżurny doktor w 9 rzędzie siedzi, czyli że pomoc lekarska na miejscu.

A Bona w dalszym ciągu jak to mówią działa. Szkolnych koleżków na swojego syna napuszcza, które przychodzą i mówią:

— Pamiętasz Gutek, jakżeśmy po Wawelu w berka się ganiali, albo jak się jednego razu berło two-

jemu staremu pod łóżko schowało, że ani rusz nie mógł rządzić?”

— Pamiętam, pamiętam, draka była niemożliwa!”

— Jak pamiętasz, to zrób to dla mnie i ożeń się z paryżanką — posag dostaniesz, po francusku nauczysz się władać i powiem ci, że jak się bliżej przyjrzyj, to nawet niczego sobie kociak!”

— Wole Skarżankie! — odpowiada mu na to Zygmont August, — Jak to panie szanowny Skarżankie, chyba Radziwiłłównę?

— Tak jest, pokreśliło mnie się troszkę, ale zresztą na jedyn wychodzi, bo Skarżanka to artystka co za Barbare przedstawia! Ale mniejsza o to, dosyć na tem, że się nie zgadza.

Trzeci akt jest taki, więcej nudny, krugom go namawiają na rozwód, a on stale i wciąż nie, i nie, i tak do samego końca. A o arseniku znówu ani słychu, ani dychu.

Tu cie boli, pomyślałem sobie przy wyjściu dlatego ta mowa o miłosnej chorobie, żeby truciznę zabajerować, żeby o fonsie i nawianiu z meblami do Rzymu nie wspominać! Jednym słowem przeprowadza się alibi. Nikt nikogo nie otrul, nikt nikomu niczego nie wyszabrował, czyli że nie nam się nie należy!”

— No dobrze, ale komu może na tem zależeć?

— Rzecz jasna — makaroniarzom. Może szykuje się apelacja.

— I dlatego się te Bony po śmierci fatygują?

— Chyba wyłącznie.

Wiech



Rys. Maja Berezowska

W pogoni za książką

Człowiek mieszkający w Polsce, gdy ma przed sobą chwilę wolnego czasu, bierze do ręki książkę. Nie zdaje sobie przy tym sprawy z faktu, że istnieją takie kraje i narody, gdzie przed osobą pragnącą postąpić w sposób podobny wyrastają nieoczekiwane, nieprzewidziane, za dzwiniące przeszkody. Tak na przykład jest we Włoszech.

Polak, przybywający do słonecznej Italii, po pierwszym okresie zachwytu nad cudami natury i archydziałami sztuki, kiedy pozna już język i nawiąże znajomość, pragnie z kolei zetknąć się z miejscową beletrystyką. Jeśli jednak przypadek tak zdarzy, że pragnienie to „objawi się” na terenie jakiejś nawet bardzo dużej miejscowości wypożyczkowej, przekona się wówczas z przykrością, że nie istnieje tam żadna księgarnia, a w kiosku z gazetami można nabyć tylko kryminalne powieści amerykańskie, w niechlujnym włoskim przekładzie.

Nasuwa się zdumiewająca konkluzja. Mieszkańska inteligencja włoska nie kupuje książek. Fakt ten znajduje zresztą potwierdzenie w zupełnie innej dziedzinie. Na międzynarodowej wystawie urządzeń domowych zorganizowanej w Mediolanie, Włosi pokazali wielkie, wygodne małżeńskie łóżka, szafy ubraniowe najrozmaitszych typów, bary umontowane w zgrabne owalne stoliki, kredensy, fotele, kamapy, lampy, radia, lodówki, palnie podręczne i maszyny do zmywania naczyń, nie pokazali natomiast w ogóle szaf bibliotecznych i tapczanów. Są to przedmioty nie znajdujące większego zastosowania w codziennym życiu społeczeństwa.

Inteligent włoski przestaje czytać z chwilą ukończenia studiów. Uważa to za przy tym za rzecz zupełnie naturalną i w czasie toczonych dysput podkreśla niejednokrotnie z powagą, że nie zna tej czy innej pozycji, gdyż ukazała się na rynku po tym jak opuścił on uniwersytet czy szkołę średnią. Nie znaczą to oczywiście, by w czasie tych sławetnych

„studiów” miał on bliższy kontakt z życiem intelektualnym kraju. W uczelniach bowiem kładzie się główny nacisk na sport, który nie służy do uzupełnienia wychowania i wykształcenia, ale do zastąpienia go w poważnej mierze.

Książki są we Włoszech bardzo drogie. Wydawane w ilości trzech do czterech tysięcy egzemplarzy, nie mogą rzecz przystępnie zaspokoić potrzeb kulturalnych kraju liczącego prawie 50 milionów mieszkańców. W tych warunkach przypuszczać by należało, że rolę pośrednika pomiędzy wydawcą a odbiorcą spełnia wypożyczalnia, dostępna szerokim rzeszom społeczeństwa.

Wypożyczalnia książek mieści się na Piazza di Spagna, u podnóża Trinità dei Monti. Jest ona jedyną w całym Rzymie i dużej polaci kraju. Jej właściciel, maly, smagły podudniowiec o żywych ruchach i smutnych, czarnych oczach uśmiecha się na widok klienta. Tak mało ludzi pojawia się w jego przedsiębiorstwie. Wciążnięty do rozmowy z przejęciem opowiada o całkowitym upadku czytelnictwa. On sam musiał zlikwidować swoje filie w Mediolanie, Florencji i Neapolu. Utrzymała się jedynie placówka w Bolonii, oraz wypożyczalnia firmy konkurencyjnej w Turynie.

3 wypożyczalnie, 48 milionów ludności, 4 tysiące nakładu książki — oto obraz skutków polityki kulturalnej prowadzonej przez chadeckie rządy na odcinku literatury i popularyzacji wiedzy.

Nie trudno jest zdać sobie sprawę z przyczyn tego stanu rzeczy. Jest on typowy dla państw o strukturze kapitalistycznej, a na terenie Włoch występuje szczególnie jaskrawo ze względu na bliskie sąsiedztwo Watykanu.

Stolica Apostolska walczy nieubłaganie o utrzymanie swych pozycji. We Włoszech walka ta wyraża się między innymi w dążności kleru do całkowitego opanowania wychowania, do ustalania programów nau-

NATALIA ROLLECZEK

Pisarz liryczny

Było rzeczą cudowną czuć od nowa ten dreszcz radosnego strachu i ścisnącej serce niepewności: — stała przed nim Alina...”

Przeczytał napisane zdanie, spojrział na tytuły leżących przed nim gazet, westchnął, przekreślił słowo „Alina” i napisał: „koparka”.

— Stała przed nim koparka — odczytał głośno i z naciskiem.

Teraz gdy myślał o jednej a pisał o drugiej, szło gładko.

„...Jeśli będzie mi uległa, jeśli potrafi pokierować nią według swej woli i okiełznać” — wstrzymał liryczny impet i aby nie było żadnej wątpliwości co do jego postawy ideologicznej skończył — „stanie się nowym człowiekiem”.

W tym miejscu położył kropkę.

Po realistycznym pierwszym zdaniu i światopoglądowym drugim należało strzepnąć z pióra leciutką ironię, półśmieszek twórcy nakreślający świadomy dystans pisarza do tych spraw.

Po krótkim wahaniu napisał:

„...Odniesione nad nią zwycięstwo to tak, jak gdyby zaważał wiecheł na szczycie doru”.

To zdanie poszerzało sens ideologiczny utworu. Nie wyłączone, że dla młodego ambitnego krytyka stanie się ono bodźcem do wystąpienia z szeroką rozprawą krytyczną pt. „Don Kichot i Dulcinea czy awans klasowy?”

Jeszcze raz odczytał tekst i z upodobaniem zatrzymał wzrok na koparkę. Takie powiązanie uczuć osobistych z narzędziami produkcji redaktor naczelny winien należycie ocenić...

Teraz jedynie należało umiejscowić koparkę w Nowej Hucie i posadzić na niej parobka, sierotę z małorolnej wsi.

Zmarszczył brwi uświadomiwszy sobie, że nie wie, czy koparka to jest coś ciągnięte przez traktor, czy też jedzie to samo? Uspokoił się pomyślawszy — to jest właśnie ten napór rzeczywistości, z którym twórcy pisarz musi się zmagać. Po czym

słowo „koparka” opatrzył gwiazdką, wyjął notes i zapisał:

(Wnieśli podanie do Zarządu Głównego Związku Literatów o stypendium na studia literackie w terenie.)

Odłożył pióro i zapalił papierosa. Początek (ni: wiedział jeszcze czy będzie to zwięzły reportaż, czy długofalowa powieść) zapowiadał się nieźle. Dalszy ciąg nie przychodził mu jakoś do głowy.

Tak więc napisawszy ten fragment dla socjalizmu postanowił napisać coś dla siebie. Coś, co dawałoby wyraz jego pisarskiej niezawisłości od przemijających wypadków i katastrof świata tego, zmienionych poglądów ludzkich, jadów krytyki i zawiści przyjaciół.

Pomyślał o pisarzach, którzy stali się nieśmiertelnymi dzięki zręcznemu uszeregowaniu słów. Takie „To be, or not to be?” czy „Ou sont les neiges d'antant?” zrobiło światową karierę i ludzkość będzie klepać je w podziwie do końca świata. Należało zatem dać sobie liryczną folię. Zdanie powinno być krótkie i kończyć się zapytaniem.

Np. „...Ileż ptaków opuściło gniazda...”

Tak! Była w tym i zaduma, i pytanie, brakowało tylko końca.

Jeszcze raz odczytał głośno, powoli:

„...Ileż ptaków opuściło gniazda?”

Postawił kreskę i na dole odnotował: dokończyć.

Na dzisiaj miał dosyć. Schował do szuflady oba arkusze. Ten z koparką, w której splecał haracz współczesności, i ten z ptakami, którym chciał trwale obdarować ludzkość.

Następnie poszedł na spacer.

Przyjemnie było spojrzeć na autą wiozące paki towarów, na ludzi chodzących zreszcie po rusztowaniach, pukających jakimś narzędziami w rozrzucone na jezdni szyny.

Przyglądał się im życzliwie.

On też się dla nich trudził.

Natalia Rolleczek

TADEUSZ POLANOWSKI

„...Twa zguba w Rzymie.”

Rozwiała się zasłona z kądzielnego dymu

I nie trudno już dotrzeć do tej sprawy sedna:

Tych, których wszystkie drogi prowadzą do Rzymu,

Nie wiedzie do własnego narodu ni jedna!

czania fałszujących przeszłość i współczesność, do przekształcania szkół państwowych w prywatne — katolickie a także do odgródnienia społeczeństwa od książki.

„Biblioteki — to apteki, w których jest więcej trucizn niż leków”. Oto dewiza Watykanu sformułowana oficjalnie przez wielbego ojca Trossarelli na łamach „Fede di Roma”, organu Akcji Katolickiej. Człowiek zdrowy, jak wiadomo, nie potrzebuje ani trucizn, ani leków, dlatego też zdaniem sfer duchownych winien stronić od bibliotek pozostawiając trud wyboru lektury i samodzielnego myślenia swym duszpasterom. Oni to, bogaci w wiedzę i doświadczenie, wytyczą mu drogi, którymi winien iść, podsuną poglądy, którymi będzie się mógł posługiwać. Ponieważ jednak nie sposób całkowicie odciąć ludzi, a zwłaszcza młodzież od książki, biblioteczki szkolne są troskliwie zaopatrywane w rozprawy o nieśmiertelności duszy, pseudomoralizatorskie powieści pisarzy katolickich bardzo średniego autoramentu oraz ławie szmiry o biedakach, którym „młodsze” serca bogaczy umożliwiły spokojne i szczęśliwe życie.

Aby nic nie mąciło tej idylli, kładzie się duży nacisk na „harmonijny” system wychowawczy, którego podstawą ma być — jak stwierdził ostatni zjazd nauczycieli katolickich następująca zasada: „Informowanie obywateli o świecie i życiu nie jest właściwą postawą pedagogiczną”.

Ta zbrodnia polityka mająca silne oparcie w rządzie leży nie tylko w interesie kościoła, ale także w interesie klas posiadających, które ciągną swe zyski z ciemnoty i nieuchwa Polityce tej jednak przeciwstawiają się z całą siłą i stanowczością najszersze warstwy narodu kierowane przez Włoską Partię Komunistyczną. Obrona kultury stanowi integralną część programu wytyczonego przez postępowe sily narodu stała się hasłem do zerodkowania na tym polu jak największych wysiłków. Na ogólnowłoskich Kongresach Kultury Ludowej, zwo-

ływanych co kilka lat, opracowuje się plany na najbliższą przyszłość. W wyniku realizacji tych planów Włoska Konfederacja Pracy urządziła przyfabryczne, zamknięte wypożyczalnie książek dla robotników i ich rodzin. Jednocześnie wypożyczalnie takie zorganizowano przy Izbach Pracy, w świetlicach dzielnicowych i wiejskich, w klubach robotniczych, a także przy zespółach amatorskich.

Aby zaspokoić wymagania czytelników, Partia Komunistyczna podjęła na szeroką skalę zakrojoną akcję wydawniczą, którą objęła arcydzieła literatury światowej, opracowania popularno naukowe, dzieła klasyków marksizmu-leninizmu, podręczniki zawodowe i techniczne.

Nie wystarczyło jednak same zapewnienie poleć książkami. Należało jeszcze wciągnąć, przyzwyczaić do czytania szeroki ogół robotniczy i chłopski, należało wyjaśnić walory artystyczne prozy i powieści, umożliwić zrozumienie trudniejszych problemów, a niejednokrotnie w ogóle nauczyć tego czy innego czytelnika pisać. Godzinny zbiorowy czytania, popularne pogadanki i odczyty, kursy dla analfabetów, inscenizacje i objaśnienia ułatwiają klasie pracującej nawiązanie trwałego kontaktu z książką. Kontakt ten nie jest jednak jednostronny, pasywny. Nowy odbiorca nie ogranicza się do roli biernego konsumenta dobra kulturalnego, lecz wysuwa swe konkretne żądania pod adresem twórców. Domaga się, by literatura i sztuka pokazała w sposób prawdziwy wielki trud jego życia. Krzyżdy, ponizem, cierpienia a przede wszystkim pracę i walkę. To wszystko co mobilizuje masę, co je jednoczy we wspólnym szeregu, co każe im wierzyć w przyszłość. Postępowi twórcy nie odpowiedzieli milczeniem na to wezwanie.

Realistyczna sztuka włoska wyrosła z walki swego narodu przeciwko wyzyskowi i przemocy z poczucia siły, która potęgując z każdym dniem, miesiącem i rokiem utworze drogę w socjalistyczną przyszłość.

Jadwiga Pasenkiewicz

ZACHÓD W NASZYCH OCZACH

Gry

niebezpieczne

Generał Solinas przeżył niespokojny dzień. Tygodnik Cinema Nuovo wyskoczył nagle z drukiem scenariusza filmowego pt. „Armia miłości” demaskującego okrucieństwa popełniane przez włoskie wojska okupacyjne na terenie Grecji. Sprawa ta żywo obchodzi generała, gdyż to on właśnie był w Grecji tym sędzią trybunału, który puszczał płazem zbrodnie popełniane przez faszystowskich dowódców. Skandal mógł wybuchnąć lada moment, skandal tym przykrejszy, że i dziś generał jest sędzią w tymże samym trybunale. Należało działać bez zwłoki, by incydent ten zatuzować. Ale jak?

Po krótkiej naradzie uznano, że najbezpieczniej będzie natychmiast zamknąć autora scenariusza, Renzo i redaktora czasopisma Guido Aristarco. Znaleźć po temu odpowiednie podstawy prawne jak się okazało, nie było proste, i po wielu zmudnych poszukiwaniach zdecydowano się działać z omińnięciem konstytucji. Zarejestrować filmowców za demaskowanie zbrodniarzy faszystowskich nie jest tak łatwą jakby się zdawało, zwłaszcza jeśli przy tym należy uniknąć ewentualności normalnego, dostępnego prasie i publiczności procesu.

Jeden z służbnych pułkowników podsunął myśl, by pociągnąć obu obywateli do odpowiedzialności przed trybunałem wojskowym, na tej zasadzie, że obaj są... rezerwistami, a więc potencjalnymi żołnierzami. Rozwiązanie takie było znakomite, zwłaszcza że w tym wypadku dochodzenia prowadziłby sam generał Solinas, istniałaby więc gwarancja, że zeznania dotyczące „tajemnic wojskowych” nie przenikną poza turyrę prokuratury. Pozostawało tylko uzyskać zgodę ministra sprawiedliwości. Pan ten, jak wiadomo, potrafił z właściwym sobie taktem stanąć na wysokości zadania.

Skoro tylko obaj „winowajcy” znaleźli się pod kluczem, inicjatorzy planu przydzielili togi szlachetnych obrońców kultury narodowej „za-groźonej” w swym rozwoju przez ludzi zdolnych do bezczeszczona „bohaterskiej” przeszłości armii.

Uwięzienie Renzo i Aristarco miało być jednocześnie ostrzeżeniem dla postępowego filmu, dowodem, że rząd potrafi zmusić do milczenia tych, którzy będą zbyt gorliwi w ukazywaniu prawdy o życiu Włoch. Premier Pella uznał bowiem zgnienie szkoły realistycznej za jedną z najbardziej palących spraw.

Rząd włoski, zdaniem chadeckich polityków, nie może pozwolić na to, by powstawały nadal takie filmy jak: „Złodzieje rowerów”, „Dzieci ulicy”, „Gorzki ryż”, „Droga nadziei”, „Cud w Mediolanie”, „Nie ma pokoju pod oliwkami”, „Pod niebem Sycylii” itp., ponieważ każdy z nich jest wstrząsającym, dramatycznym oskarżeniem ustroju, wołaniem o jego zmianę. Bo jeśli nawet na pozór walka nie jest głównym bohaterem tego czy innego scenariusza, to jednak wyuczuwa się ją nieodmiennie w urwku buntowniczej piosenki, w jasnym blaskach światła oświetlającego nędzę, jeszcze na wpół uśpioną wieś, w dumnie podniesionych głowach tych ludzi, których nędza i rozpacz winny były dawno pochłycić ku ziemi, w przejmującym szepcie „Człowieka bez jutra”, w łzach i trudzie „Nadziei za dwa grosze” lub w zmaganiach partyzanckiej drużyny.

W zamierzonym rozgrywie z postępowym filmem Pella czuje za sobą mocne poparcie Watykanu i niedwuznaczne amerykańskie zachęty. Jak wyglądałaby realizacja tych „zachęt”? informuje angielski publicysta Henry Brill w dzienniku „The Nation” cytując rozmowę pomiędzy panem Eitel Monaco, prezesem Stowarzyszenia Włoskich Producentów a księdzem Mac Clafferty, nieoficjalnym przedstawicielem Watykanu do spraw państw katolickich. Mac Clafferty stwierdził, że „film włoski aby uniknąć dotychczasowych błędów, winien zdecydować się albo na przyjęcie doradcy amerykańskiego, reżydującego stale we Włoszech, który ostrzegłby producentów przed każdym naruszeniem kodeksu moralności amerykańskiej, albo też na wysłanie do Stanów Zjednoczonych delegata włoskiego, który otrzymywałby tam niezbędne wskazówki oraz wykonywał po powrocie zleczone sobie zadania”. Już jednak pierwszy krok na tej drodze, aresztowanie Renzo i Aristarco, spotkał się z jednolitą reakcją kraju. Nie tylko bowiem pisma postępowe ale też i inne podniosły bezprawność podjętej decyzji. Aby dać wyraz potępieniu aktu rządowego, poszczególne dzienniki liberalne, czasopisma i tygodniki przedrukowały u siebie inkriminowany fragment wraz z widniejącym po tekście podpisami najwybitniejszych aktorów, scenarzystów, pisarzy, malarzy, producentów, krytyków, uczonych i działaczy politycznych. Kampania toczy się pod hasłem „Aresztujcie także i nas”, albo zwolnijcie więzionych.

J.P.